EUGENIUSZ IWANICKI

TARGOWISKO ZŁEGO GUSTU

Na wybetonowanym placu, gdzie dawniej rozbijały swe namioty cyrki, a wesołe miasteczka ustawiały przemyślne karuzele, ktoś postawił przyczepę samochodową z wywieszką **„Jubilat" — kiełbaski na gorąco".** Do każdej porcji można otrzymać piwo, także „Jubilat". Kolejka jest spora, bo prawdziwy mężczyzna nie zadowoli się jedną butelką, choć płyn w niej ciepły i cierpki. Wewnątrz przyczepy siedzi człowiek w fartuchu, kiedyś białym, i palcami czarniejszymi od sumienia najbardziej zatwardziałego przestępcy nakłada porcje chleba na kartonowe talerzyki.

Czułem ogromny głód, lecz odszedłem od „Jubilata" z uczuciem niesmaku. Inni jakoś nie zwracali uwagi na te ruchliwe, czarne ręce lepiące się do chleba, do butelek, do kiełbas, do pieniędzy.

Dalszy ciąg na str. 4

W NUMERZE:

Z rąk do rąk

Przede mną gramoli się wielki „Bacik". Uwiązł w ciasnym otworze, zawieszony na łokciach. Wymachuje nogami, szukając oparcia, za chwilę rozbije mi obcasem nos, ale to głupstwo w porównaniu z faktem, że spod jego pach wysuwają się dwie flaszki samozapalnej benzyny. Jeszcze moment, a staniemy w ogniu, zaś pozostali będą odcięci, gdy zapali się jedyne wyjście. Łapię butelki, wsadzam w boczne kieszenie kurtki, podpieram — ile sił — „Bacika" i jakoś wychodzimy. Trwa to najwyżej pół minuty. Za chwilę wszyscy jesteśmy już w bloku „A", unosząc rannego w brzuch Rybaka.

(JULIAN KULESZA)

Kogut mistrza Fonka

— Panie Workiewicz — przywitał mnie szef. — Na nocnej zmianie stanęło kilkanaście zgrzeblarek. Sprawdź pan z Fonkiem te pędnie i działaj.

— Panie technik, nic poważnego, gallus nawalił — powiedział Fonek, gdy wyszliśmy.

„Co za gallus?" — pomyślałem. Zacząłem szukać w pamięci nazw części maszyn. Strach mnie ogarniał na myśl o grożącej kompromitacji.

(STANISŁAW WORKIEWICZ)

G. Simenon i jego komisarz

— A komisarz Maigret?

— Człowiek jak wszyscy inni. Wie pan, na świecie stworzono 58 filmów o Maigrecie, z tego 20 telewizyjnych. I każdemu krajowi jest bliski jego własny Maigret. To dlatego, tak mi się przynajmniej wydaje, że każdy widzi w nim typ człowieka, jakiego chciałby mieć za przyjaciela.

(Przełożył: JERZY CZECH)

Nie poklepywać!

Klasycznym przykładem jest przypadek Heinricha Schliemanna, który w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku uparł się, że Troja nie była mitem, tylko istniała faktycznie. Miał on nieszczęście być handlarzem mydła i śledzi i do dziś mu tego nie zapomniano. Oto „Encyklopedia powszechna" PWN informuje, że był to „niemiecki archeolog amator". Widać fakt, że Heinrich Schliemann odkrył i odkopał Troję nie może zmyć na jego honorze naukowym plamy, jaką było handlowanie mydłem i śledziami.

(LUCJUSZ WŁODKOWSKI)

POZA TYM:

Pierwszy odcinek nowej powieści WACŁAWA BILIŃSKIEGO „Koniec wakacji", ŚLADEM NASZYCH KORESPONDENCJI, RECENZJE, FELIETONY, „ZAŁĄCZNIK".

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 32 (1131) ROK XXII · 12 SIERPNIA 1979 R. · CENA 3 zł

ANDRZEJ MAKOWIECKI

NIE MA PSÓW NIE BIJA DZWONY

Człowiek, który przyjechał do miasteczka w sobotę wieczorem i nazajutrz, w niedzielny poranek, ruszył na swój pierwszy spacer jedną z owych wąskich i krótkich uliczek, człowiek, który zobaczył to miasteczko w blasku słonecznego dnia — domki o czerwonych dachówkach i wyłożonych deszczułkami ścianach, małe kamienne podwórka ocienione pędami winorośli, tu i ówdzie drzewo figowe albo migdałowe, obok stół, ława, kilka krzeseł, babina w czerni omiatająca skrupulatnie ganek lub polewająca konewką wielkie, szkarłatne pąki róż; człowiek, który dotarł wreszcie do placu, gdzie zbiegają się wszystkie drogi i widać stamtąd, z jednej strony, portowe nabrzeże, trochę statków rybackich i wojennych okrętów, a z drugiej — niewielką zatokę, wzdłuż której ciągnie się plaża pusta jeszcze o tej porze dnia i roku — człowiek ten przeżywa w Sozopolu swoją pierwszą, intensywną radość.

— *Barba Christo, Janczo!*

— *Barba Christo, Panczo!*

Uścisk dłoni. Tak pozdrawiają się wiekowi starcy, obsiadujący szczelnie ławki i występy murów na tym placu nie placu obok zabitej deskami cerkiewki. Jest Turek w wysokiej, karakułowej czapce i Cygan w wyleniałej baranicy. Jest paru Greków o pomarszczonych, dobrodusznych twarzach, z których czas zdołał zmyć już wszystko prócz spokoju oraz kilkunastu Bułgarów — godnych, milczących, nieruchomych, wspierających ręce o drewniane zakola lasek.

— *Patrz* — mówi polski turysta do żony. — *Tak ciepło, a oni wszyscy w marynarkach, w swetrach... I ten śniady w kożuszku.*

— *Ojej!* — wzdycha kapryśnie kobieta. — *Ty to jesteś taki, ja nie wiem, dziecinny. Przecież dopiero początek czerwca. Nie ma jeszcze prawie letników, pusto w sklepach i kawiarniach... Dla Bułgarów sezon zacznie się dopiero za dwa-trzy tygodnie.*

— *A my za dwie-trzy godziny pójdziemy się wykąpać.*

— *Ojej!* — jęknęła kobieta. — *To, dlatego, że ty chcesz wleźć do wody, oni mają ściągnąć kapoty i marznąć?*

— *Ja im każę ściągać kapoty?*

— *A kto, ja?*

— *No, dobrze już, dobrze!* — syknął podirytowany mąż. — *Ledwo żeśmy przyjechali i już się zaczyna.*

W górze, nad czerwoną dachówką kawiarni zawrzasnęła mewa, a po niej wszystkie inne mewy, mieszając się za solistką w chór jak świerszcze. Wrzeszczały te na kominach i rynnach oraz te, które kołowały na bezchmurnym niebie lotem tak pięknym i dostojnym, że chwytało za serce. Tubylcy pod murem nie zwracali na to uwagi, nie słyszeli chyba w ogóle tego wrzasku, Polak natomiast obserwował ptaki z uwagą.

— *Strasznie hałaśliwe te mewy* — powiedział.

— *To nie mewy tylko czajki.*

— *Czajka to po rosyjsku i bułgarsku mewa.*

— *Nie!* — ucięła gniewnie kobieta. — *Czajka to po prostu czajka. Zobacz, jaka jest wielka, jaką ma rozpiętość skrzydeł i jaki mocny, ogromny, zakrzywiony dziób.*

— *W porządku* — przytaknął mężczyzna. — *Mieliśmy się nie kłócić, więc niech będzie czajka. Tak czy owak przez te czajki całą noc nie mogłem spać. Słuchaj, jaką one mają skalę głosu! Potrafią śmiać się, płakać, gęgać, gulgotać, kwilić jak dziecko albo miauczeć jak kot. Parę razy się na to nabrałem.*

— *Ojej, jak ty nic nie wiesz o życiu!* — zachichotała nerwowo kobieta, która także chyba była niewyspana, zmęczona długą podróżą wagonem pierwszej klasy. Zmiana klimatu też robiła swoje. — *Przecież one teraz, w czerwcu, mają okres godowy. Samce walczą między sobą o samice, w niektórych gniazdach są już młode i jak się tylko zbliża jakiś obcy ptak, zaczynają ujadać.*

Mężczyzna, który był inżynierem i siłą rzeczy nie mógł znać się na wszystkim, pokiwał przekonany głową. Zaraz potem, nie patrząc na żonę, pokiwał jeszcze raz, zobaczywszy jak na dachu drewnianej chatynki wczepiają się w siebie pazurami dwa samce. Przedmiot sporu, przycupnięta na goncie samiczka, śledziła walkę z kamienną obojętnością, niczym trzeźwa prostytutka w tawernie, gdzie zabiega o jej względy dwóch pijanych, naindyczonych marynarzy. Miała ładną sylwetkę, dłuższą szyję i delikatniejsze, podwinięte zresztą pod siebie skrzydła, niż czubiące się samce. W chwili, kiedy jeden drugiemu przykroił wreszcie zakrzywionym, ostrym dziobem lotkę do krwi, ranny ptak odfrunął z krzykiem, co pociągnęło za sobą krzyk wszystkich pozostałych ptaków i znowu przez kilkanaście sekund panował w powietrzu straszliwy harmider.

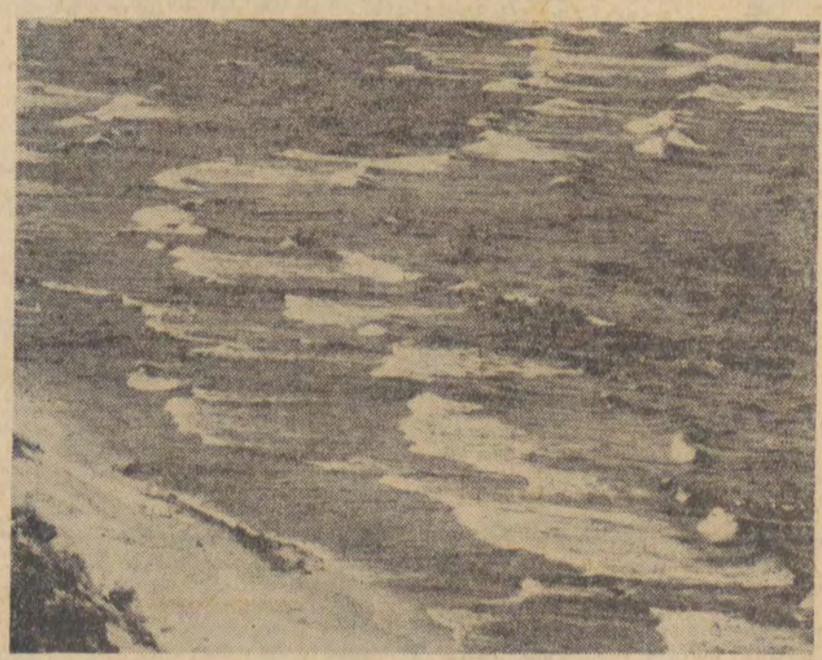

Dalszy ciąg na str. 6

Knieje nasze mazurskie, bory sosnowe i świerkowe, zaczynające się o kilkaset metrów od Młyna, przy krzyżówce do Świętej Lipki. Wypowiedział je, wraz z całym ich bogactwem — runem leśnym, ogrójcem powszechnie wymierających już gdzie indziej na potęgę ptaków, „Weyssenhoff tych stron", jeden z pięciu największych prozaików niemieckich XX w., Ernst Wiechert, syn leśnika z Piersławka, czujący się w swej powikłanej świadomości narodowej również Mazurem, a zaś nigdy faszystą. Wypowiedział mroczny pejzaż tych stron — zamglony nie tylko oparami z jezior i oparzelisk, lecz i nostalgią odejścia, także myślą o drodze dalszej, dokąd przyzywa jęk żurawi, uważanych przez dawnych Mazurów za wysłańców tamtego świata. Wypowiedział tutejszy pejzaż w „Pani Majorowej", w „Lesie", w „Wilkołaku", we „Flecie pana", we wspomnieniach „Lasy i ludzie", wreszcie w „Rodzinie Jerominów". Milcz więc pióro.

Z kolei jeziora tych stron — przeliczne (choć podglądane przeważnie od brzegu Nidzkiego przy leśniczówce Pranie) i na rozległościach nie ustającą komitywę jasnej i czarnej wody ze słońcem i nocą, a ptactwa wodnego z zielem i obłokami — te jeziora wypowiedział w „Kronice olsztyńskiej" „zielony Konstanty". I znowu milcz pióro.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

W STARYM MŁYNIE

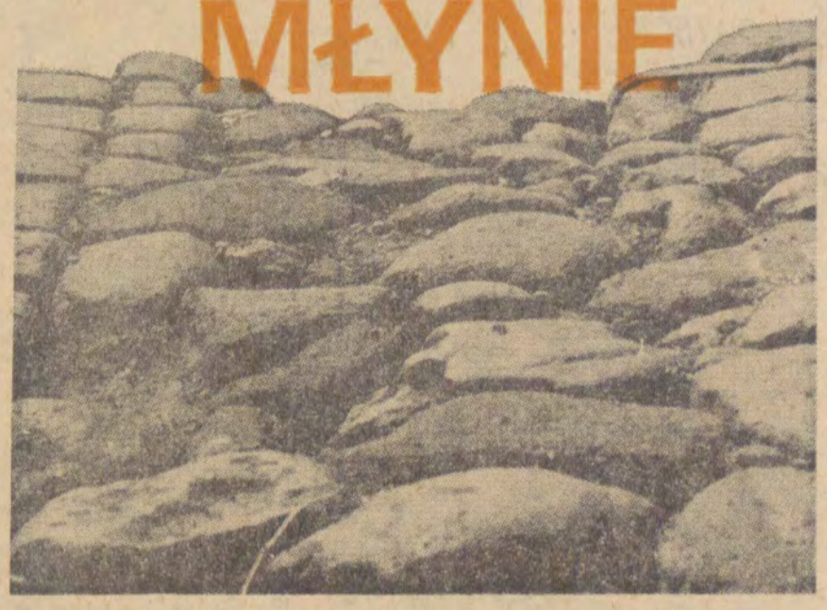

A ów cudotwór baroku na granicy Mazur i Warmii, a na nim Panią szczodrze promieniującą ze złotolistnej lipy — wyśpiewał Aleksander Rymkiewicz. Zatem i związki pejzażu, architektury i sacrum też wypowiedziano.

Cóż, że widziałem trzystuletnią Sosnę Królewską w rezerwacie tejże nazwy i obie leśniczówki, których imię w literaturze wielkie jest, i że widziałem z daleka zza rozbudowanych w głąb szuwarów jeziora Łukajny coś niby wielohektarowe zagęszczenie kry — a to była właśnie armada dzikich łabędzi! I cóż, że zobaczyłem na łęgach Rucianego do Kamienia kobierce maków tkane tak gęsto, że czegoś równie kolorowego nie stworzyłaby i najbardziej baśniowa z secesyjnych wyobraźnia Mehoffera! I że stałem na kurhanie księcia pruskiego przy drodze z Rybna do Mrągowa, a też przepatrywałem okolicę ze wzniesienia cztowni Gelingów w Wyszemborku! Widziałem, przeżywałem mocniej niż wypowiada to spowszechniały wyraz „wzruszenie" i oddałem należny dług owym wzruszeniom w powstałych wnet wierszach. No i cóż! Nie opuszczało mnie wrażenie, że oglądam powszechnie oglądane, że wyrażam wyrażone, że korzystam z wygody chodzenia po przetartych uprzednio ścieżkach, czy wyjeżdżonych szlakach wodnych.

Dalszy ciąg na str. 5

POLSKIE MUZEUM W SZWAJCARII

Uwadze polskich turystów, których szlaki podróżnicze przebiegać będą przez Szwajcarię, pragnę polecić miasteczko Rapperswil, malowniczo usytuowane nad Jeziorem Zuryskim. Nazwa ta nie występuje w znanym przewodniku „Europa za 100 dolarów", a szkoda, bowiem w Rapperswilu znajduje się Muzeum Polskie, placówka licząca ponad sto lat, która w epoce porozbiorowej była symbolem idei wolnościowej, a dziś jest przedmiotem dumy Polonii.

W XIII wieku hrabia Rudolf, poddany Fryderyka Rudobrodego, wybudował nad Jeziorem Zuryskim zamek, wokół którego powstało potem miasteczko o ciasnych uliczkach opadających łagodnie ku jezioru. Później zamek przeszedł w ręce Habsburgów, w XV wieku został włączony do Konfederacji Szwajcarskiej i w końcu stał się „Zamkiem Polskim". Stało się to dzięki inicjatywie gorącego patrioty polskiego, hrabiego Władysława Platera, który budynek wydzierżawił od gminy na 99 lat, kazał go własnym kosztem odrestaurować i przebudować na siedzibę Muzeum Polskiego, uroczyście otwartego w 1870 roku. Dzieje tego muzeum będą odtąd ściśle związane z historią miasta. Na wolnej ziemi szwajcarskiej stało się ono ośrodkiem niezależnej Polski w epoce porozbiorowej, a zarazem symbolem idei wolnościowej i przyjaźni polsko-szwajcarskiej. Odwiedzane corocznie przez wielu Polaków i cudzoziemców, przybyłych z rozmaitych krajów, stało się ono ważnym czynnikiem odbudowy kraju po pierwszej wojnie światowej. Sława jego bowiem promieniowała daleko poza granice Szwajcarii.

Z chwilą powstania niepodległej Polski, rola jego wydawała się skończona. Bogate zbiory, wspaniała biblioteka, w której w latach 1892—1896 pracował Stefan Żeromski, pisząc „Ludzi bezdomnych", serce Kościuszki, przechowywane dotąd w kaplicy zamkowej, przeniesione zostały do Polski zgodnie z wolą fundatora wyrażoną w testamencie. Niestety, wszystko to prawie padło ofiarą płomieni w czasie najazdu hitlerowskiego.

Po zlikwidowaniu muzeum platerowskiego, w opróżnionym Zamku Rapperswilskim powstało w 1936 roku tzw. Muzeum Polski Współczesnej, z kolei zlikwidowane po ostatniej wojnie, kiedy to władze gminne wypowiedziały kontrakt. Aby nie dopuścić do zerwania nici tyluletnich tradycji, zrodziła się myśl stworzenia Polsko-Szwajcarskiego Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu, które wprowadziło się do zamku w 1954 roku. Celem jego miało być utrzymanie więzów przyjaźni łączących Polskę ze Szwajcarią oraz pogłębianie znajomości Polski poprzez urządzanie okresowych wystaw w odstąpionych Towarzystwu salach. I tak w 1954 roku zorganizowano wystawy pt. „Zamki polskie" i „Historia muzeum platerowskiego", w 1959 roku — „Przyjaźń polsko-szwajcarska w ciągu wieków", zaś w 1962 roku wystawę „Setna rocznica Powstania Styczniowego z 1863 roku". Obecnie na zamku istnieje stała, licząca kilkaset eksponatów, ekspozycja powstała głównie z darowizn od Polaków rozsianych po całym świecie. Wystawa ta jest chętnie odwiedzana przez polskich turystów i Polonię, dla której Zamek Rapperswilski ze zgromadzonymi w jego salach historycznymi pamiątkami jest kawałkiem ojczyzny. Świadczą o tym najlepiej wzruszające zapisy w księdze pamiątkowej.

Do najcenniejszych eksponatów należy kolekcja miniatur umieszczona w dawnym pokoju Żeromskiego, obraz Fałata, dwa obrazy Juliusza Kossaka, jeden — Wojciecha, kilka olejów Józefa Brandta. Cenne są też liczne facsimile, wśród nich — facsimile dzieła Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium" oraz facsimile polskiej pieśni patriotycznej będącej w swojej pierwotnej wersji dziełem dwóch Francuzów: poety Casimira Delavigne'a i jego przyjaciela — mowa o „Warszawiance" śpiewanej według muzyki skomponowanej w 1831 roku przez K. Kurpińskiego.

W tzw. pokoju Chopina zgromadzono sprzęty w stylu biedermeier, dagerotypy Chopina i jego rodziców, kopię pośmiertnie wykonanej maski kompozytora oraz odlew jego prawej dłoni. W kąciku poświęconym Adamowi Mickiewiczowi wystawione są pierwsze wydania francuskie i niemieckie jego dzieł. Do cennych pamiątek należy także niema klawiatura Ignacego Paderewskiego służąca do ćwiczeń w podróży. Ponadto przedmioty, listy, dokumenty, medale, monety, pochodzące niemal ze wszystkich epok naszej historii, facsimile listu pisanego po angielsku przez Tadeusza Kościuszkę w Stanach Zjednoczonych, wachlarz będący własnością (podobno) królowej Marysieńki Sobieskiej, sztandary Legionów Polskich, korespondencja, fotografie ich uczestników, stare polskie zbroje, porcelana, puchary z herbami polskich rodów. A w sali folkloru — polskie stroje regionalne i sprzęty codziennego użytku.

Kustoszem Muzeum Polskiego w Rapperswilu jest pan Janusz Morkowski, chemik z zawodu, poświęcający mu cały swój wolny od pracy zawodowej czas. Na co dzień pieczę nad polskimi skarbami sprawuje przemiła Szwajcarka, mieszkanka Rapperswilu, pani Hoffer, która z własnej woli nauczyła się wcale poprawnie mówić po polsku i dalej tę umiejętność doskonali. Na wielu zwiedzających muzeum robi duże wrażenie, o czym świadczą wielojęzyczne (nawet po japońsku) zapisy w księdze pamiątkowej, które czytane są z uwagą przez pana Morkowskiego, wbijają w dumę panią Hoffer i wzruszają każdego Polaka.

MONIKA SUJCZYŃSKA

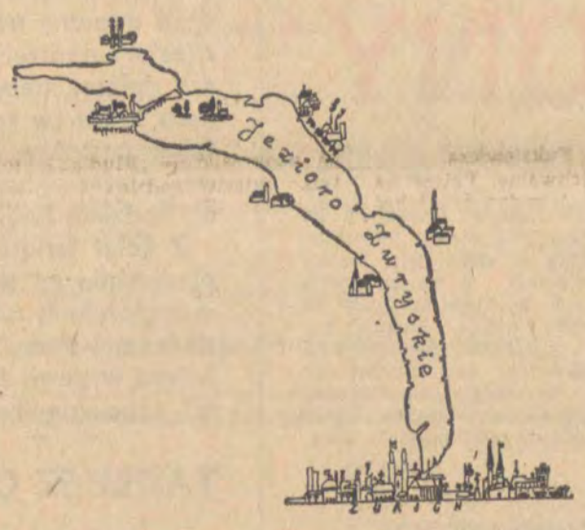

KRONIKA KULTURALNA

Z okazji 35 rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego w Muzeum Historii Miasta Stołecznego Warszawy otwarto wystawę: **„Powstanie Warszawskie w fotografii i pamiątkach"**. Pokazano około 400 zdjęć oraz wiele cennych pamiątek: prasę powstańczą, dokumenty, mapy, przepustki, broń powstańczą.

* * *

W Zespole Filmowym „Perspektywa" powstaje nowy film poświęcony Powstaniu Warszawskiemu — **„Godzina W"**. Scenariusz do tego filmu napisał **Jerzy Stefan Stawiński.** Reżyseruje go **Jerzy Morgenstern.** Operatorem filmu jest **Zygmunt Samosiuk.** W filmie wystąpią: student PWST **Jerzy Gudejko, Ewa Błaszczyk, Katarzyna Łaniewska, Emilia Krakowska, Tadeusz Borowski, Piotr Łysek, Tomasz Stockinger.** Film opowiada dramatyczne dzieje oddziału AK tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego.

* * *

W Łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych **Witold Orzechowski** realizuje film według noweli **Jerzego Gieraltowskiego „Wakacje kata".** Film będzie nosił tytuł: **„Wyrok śmierci".** Jest to opowieść o dwóch członkach AK, którzy wykonują wyroki śmierci na oficerach SS i gestapo. W sierpniu i październiku 1979 roku kręcone będą zdjęcia w atelier przy ulicy Łąkowej w Łodzi. Plenery w Zamościu i Lublinie. W filmie wystąpią aktorzy polscy oraz z NRD i RFN: **Wojciech Wysocki, Jerzy Bończak, Mariusz Dmochowski, August Kowalczyk, Piotr Dejmek, Holger Mahlick** (NRD) i **Doris Kunstmann** (RFN).

* * *

Jak zwykle w sierpniu w Dusznikach Zdroju spotykają się miłośnicy muzyki Fryderyka Chopina. Program XXXIV Festiwalu Chopinowskiego w Dusznikach Zdroju zapowiada się bogato i atrakcyjnie. Poza koncertami w muszli przewidziano także koncerty i recitale w Dworku Chopina i sali za muszlą. W Festiwalu Chopinowskim wystąpią między innymi orkiestra symfoniczna Filharmonii Wrocławskiej i orkiestra symfoniczna z Wałbrzycha. Dyrygować będą **Tadeusz Strugała** i **Józef Wilkomirski.**

* * *

W ramach Harcerskiego Festiwalu Kultury, jaki odbywał się w Kielcach, 1 sierpnia 1979 roku rozpoczęła się część międzynarodowa. Wystąpili w niej między innymi: Zespół Tańca Ludowego z Belgii, Pionierski Zespół Taneczny z Winnicy w ZSRR, Teatr Lalkowy z Węgier oraz zespoły z Bułgarii, NRD i CSRS.

* * *

Pod kierunkiem doc. **Zdzisława Pabisiaka** powstaje kopia słynnego obrazu Jana Matejki **„Bitwa pod Grunwaldem".** Jak się przewiduje prace nad skopiowaniem dzieła mistrza Jana Matejki potrwają dwa lata. Oryginał znajduje się obecnie w zamku w Malborku, kopia natomiast zawiśnie w Zamku Królewskim w Warszawie.

Płótno dla tej kopii wykonuje, jako specjalne zamówienie, **Tomaszowska Fabryka Filców Technicznych** w Tomaszowie Mazowieckim.

Przy okazji warto powtórzyć za „Expressem Wieczornym", że kopię „Bitwy pod Grunwaldem" dla Technikum Budowlanego w Mławie wykonał uczeń tej szkoły — **Jan Pawłowski.** Jego kopia obrazu Jana Matejki namalowana jest na ścianie, a zwiedzający szkołę podziwiają precyzję, talent i dokładność młodego plastyka — amatora.

* * *

Turystom przybywającym do Łodzi polecamy:

— wystawę fotograficzną **„Łódzkie przemiany"** w Salonie Fotografiki przy ulicy Piotrkowskiej;

— wystawę **„Dzieje orła polskiego"** w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego przy ulicy Gdańskiej;

— **wystawę portretów łodzian odznaczonych Orderem Budowniczych Polski Ludowej namalowanych przez Zdzisława Głowackiego** w Muzeum Historii Miasta Łodzi przy ulicy Ogrodowej.

* * *

W Armenii uczeni radzieccy odkryli system nie znanych jaskiń. W jaskiniach tych odnaleziono wiele rysunków wykonanych na skałach. Rysunki te przedstawiają sceny myśliwskie, wyobrażenia ówczesnych bóstw oraz kozła. Kozły były wówczas bardzo rozpowszechnione w Armenii i na Kaukazie. Stanowiły one pożywienie ówczesnych mieszkańców, a ich skóry służyły za okrycia.

* * *

W 1983 roku przypada setna rocznica urodzin **Jarosława Haszka.** Już obecnie w CSRS rozpoczęto przygotowania do obchodów tej rocznicy. Została ona też wpisana do kalendarium UNESCO. Powołano specjalny komitet, który zajmie się obchodami setnej rocznicy urodzin J. Haszka, uważanego za pierwszego z pisarzy CSRS, który otworzył drogę do literatury światowej. Planuje się dawne mieszkanie Jarosława Haszka w zamku w Lipnicy przekształcić w Muzeum Humoru i Satyry.

* * *

W lipcu 1949 roku ukazał się pierwszy numer miesięcznika **„Literatura Radziecka".** W ciągu minionych 30 lat pismo prezentowało polskiemu czytelnikowi fragmenty prozy pisarzy radzieckich, nowele, dramaty, krytykę literacką, a także dawało obraz życia kulturalnego Kraju Rad.

Wydawana w Moskwie **„Literatura Radziecka"** ukazuje się w 9 językach, między innymi: w angielskim, francuskim, hiszpańskim, niemieckim i japońskim. Sprzedaje się w 100 krajach. Polska wersja **„Literatury Radzieckiej"** ukazuje się w 21 tys. egzemplarzy.

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

ANDRZEJ MAKOWIECKI

autobusowa gra w berka

W odpowiedzi na artykuły zamieszczone w „Odgłosach" nr 21 z dnia 27.5.1979 r pt. „Autobusowa gra w berka" oraz w nr 23 z dnia 10.6.79 r. pod tym samym tytułem uprzejmie wyjaśniamy:

— utrudnienia w korzystaniu z przystanku „na żądanie" linii „G" w rejonie zakładów „Olimpia" wynikały z nieporozumień między podróżnymi a obsługą wozów. Celem wyeliminowania powyższego przysanek linii „G" we wspomnianym rejonie od 26 maja br. jest przystankiem stałym.

— przypadki opuszczania przez nieuczciwych kierowców ostatnich kursów istotnie miały miejsce. Kierowcy zjeżdżali z trasy szybciej niż przewiduje to rozkład jazdy, wyczekując przed wjazdem do zajezdni. Sytuacje takie staramy się wychwytywać, a winnych zgodnie z regulaminem karać. W celu wyeliminowania tego sporadycznie występującego zjawiska służba nadzoru ruchu została zobowiązana do systematycznej kontroli dróg dojazdowych do zajezdni i w ostatnim okresie nie stwierdzono podobnych faktów.

Będziemy wdzięczni czytelnikom za sygnały o nieuczciwych kierowcach. (numer autobusu, miejsce postoju, godzina), przyczyni się to bowiem do natychmiastowego działania służby nadzoru ruchu, a co za tym idzie podniesienia dyscypliny wśród kierowców i dalszej poprawy komunikacji.

— szczyt komunikacyjny w Łodzi trwa od wczesnych godzin rannych do godz. 9.00. Z tego powodu 40 proc. autobusów jest dodatkowo wykorzystywanych tylko w szczycie. Nieruchome autobusy widoczne na terenie zajezdni Nowe Sady to wozy czekające na następne szczytowe wyjazdy około 30 szt. oraz autobusy trwale unieruchomione (brak silników) około 25 szt.

— ograniczenie siatką pętli tramwajowej przy zbiegu ulic Bratysławska-Thälmanna spowodowane było koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa podróżnym, a w szczególności bawiącym się na tym terenie dzieciom. Podejmując takie działania przedsiębiorstwo nasze utrzymało możliwość obejścia pętli chodnikiem wykonanym po stronie południowej — do ulicy Narciarskiej. Ponadto istnieje możliwość dojścia (poprzez oznaczone przejścia i wydzielone ciągi piesze) bez potrzeby forsowania torowiska od przystanku tramwajowego do przystanków autobusowych linii „G" i „76".

— regularność kursowania autobusów, tworzenie się tzw. „stad" jak i awarie naszego taboru (wide artykuł w „Odgłosach" nr 23 jest przedmiotem stałej troski zarówno kierownictwa przedsiębiorstwa jak i jego szeregowych pracowników. Gwarancją regularnego kursowania autobusów jest posiadanie odpowiednio technicznie i ilościowo przygotowanego taboru. Sytuacja jaka panuje obecnie jest ogólnie znana (zarówno prasie zamieszczającej odpowiednie notatki jak i pasażerom). Brak części zamiennych oraz opóźniające się dostawy nowego taboru (dostarczanego w ilości niewspółmiernej do potrzeb) jest sytuacją permanentną i trwającą od dłuższego czasu. Stąd też liczne awarie autobusów wykorzystywanych do granic ich możliwości technicznych. Notowana duża awaryjność naszego taboru (spowodowana między innymi brakiem części) powoduje, że autobusy z trudem naprawiane w zajezdniach doznają uszkodzeń w czasie ich eksploatacji w ciągu dnia. W tej sytuacji na trasach pozostaje niedostateczna ilość środków przewozowych. Konsekwencją takiego stanu (gdy np. zamiast 10 autobusów linię obsługuje 7 a czasem i mniej wozów) jest wydłużenie się czasu oczekiwania na autobusy. W efekcie większa ilość podróżnych gromadzi się na przystanku. Ponieważ wszyscy chcą jechać, a autobus ma określoną pojemność wytwarza się sytuacja, w której kierowca nie jest w stanie zamknąć drzwi i ruszyć z przystanku. Przymusowy postój może trwać nawet kilka minut, co spowodować może, iż następny autobus tej samej linii dogoni poprzednika. Może mieć miejsce i taki fakt, że w ten sposób dogonić może poprzedników trzeci, a czasem i czwarty autobus. W obecnej sytuacji takie przypadki mają miejsce sporadycznie, a nasze służby zobowiązane są do natychmiastowego reagowania na podobną nieprawidłowość.

Duży wpływ na jazdę autobusów „stadami" mają przejazdy kolejowe (ul. Pojezierska, Dąbrowskiego, Kasprzaka), przy których autobusy są zatrzymywane po kilka lub kilkanaście minut. Jednocześnie zaś podejmujemy odpowiednie działania (na różnych szczeblach) by niepunktualność kursowania autobusów została wyeliminowana, a w najgorszym przypadku spadła do minimum.

— w okresie letnim, w dni wolne od pracy MPK obsługuje komunikacją zbiorową liczne ośrodki rekreacyjne na terenie miasta. Uruchamia ponadto „zielone linie" do odpowiednio przygotowanych ośrodków podłódzkich w Grotnikach, Wiśniowej Górze, Malince w Zgierzu, Bugaju w Pabianicach. Program obsługi ośrodków niedzielnego wypoczynku co roku uzgadniany jest ze specjalistyczną komisją radnych. Rozszerzenie obsługi komunikacyjnej w dni wolne od pracy limitowane jest możliwościami kadrowymi przedsiębiorstwa w grupie kierowców autobusowych.

Wyjaśniamy jednocześnie, że autobusowa linia „68" jest linią miejską i skierować jej poza granice miasta, gdzie obowiązuje inna strefa płatnicza, nie możemy.

— Głównym zadaniem obsługowym linii 251 jest połączenie Nowosolnej z punktami węzłowymi układu komunikacyjnego na terenie Łodzi umożliwiającymi przesiadanie na środki kursujące do innych rejonów miasta.

Ze stale prowadzonych obserwacji wynika, że mieszkańcy Nowosolnej zainteresowani są nie tylko w dojazdach na Doły, lecz również w znacznej ilości w dojazdach do ul. Nowotki i pl. Dąbrowskiego. Proponowane skrócenie trasy linii 251 do zbiegu ulic Wojska Polskiego i Strykowskiej pogorszyłoby obsługę Nowosolnej, która w relacji do pl. Dąbrowskiego realizowana jest już od 1.04.1959 r.

inż. Józef Korkosiński
zastępca dyrektora MPK
do spraw eksploatacji

JARMARK ZNAKÓW

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w numerze 22 „Odgłosów" z dnia 3. VI. 1979 r. pt. „Jarmark znaków" Urząd Miasta Łodzi — Wydział Komunikacji wyjaśnia co następuje:

Zgodnie z § 89 ust. 2 Rozporządzenia Ministrów Komunikacji i Spraw Wewnętrznych z dnia 20 lipca 1968 r. w sprawie ruchu na drogach publicznych oraz Zarządzenia Ministrów Komunikacji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska oraz Spraw Wewnętrznych z dnia 16 grudnia 1974 r. w sprawie znaków i sygnałów na drodze, tabliczka z napisem „Nie dotyczy docelowych wjazdów gospodarczych w godzinach 19—11" stanowi uzupełnienie znaku „Zakaz skrętu w prawo" umieszczonego nad tabliczką.

W celu rozwiązania wątpliwości informujemy, że wprowadzone tam oznakowanie na czas trwania „Jarmarku Łódzkiego" zezwalało na skręt w prawo w godzinach od 19 do 11 tym pojazdom, które prowadzą obsługę gospodarczą placówek zlokalizowanych przy ulicy Moniuszki, jak również pojazdom tych osób, które tam zamieszkują i garażują.

Jednocześnie podaje się, że wprowadzone oznakowanie zabraniało wjazdu wszelkim innym pojazdom (z wyjątkiem uprzywilejowanych).

mgr inż. Lech Kuropieska
dyrektor Wydziału Komunikacji

Od Redakcji:

Naszym zdaniem wyjaśnienie nie odnosi się do opisanej sytuacji. Rzecz w tym, iż pod znakiem „Zakaz skrętu w prawo" była nie jedna, lecz dwie tabliczki: „Nie dotyczy docelowych wjazdów gospodarczych" oraz „w godz. 19—11". W tej sytuacji nie wiadomo czy określenie pory dnia odnosi się do znaku, czy do tabliczki „Nie dotyczy".

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, witold SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI

„Na gmach PWPW – uprzednio zbombardowany – wykonała natarcie kompania własowców – w sile 120 żołnierzy, wsparta działkiem przeciwpancernym, ciężkim karabinem maszynowym i granatnikami. Przybyła ona... od mostu kolejowego i usadowiła się... w odległości 150 metrów od bloku mieszkalnego PWPW, ostrzeliwując tę część gmachu. Kilkakrotne szturmy odparła drużyna kpr. „Roma" (Roman Marchel), walcząc w zalanych wodą suterenach. Walka trwała do zmroku. Nacierający wycofali się, zostawiając 10 zabitych."

(Adam Borkiewicz – „Powstanie Warszawskie")

JULIAN KULESZA

Z RĄK DO RĄK

W nocy z 22 na 23 sierpnia 1944 roku jak zwykle — artyleria, „dorujnowuje" blok mieszkalny; od rana natomiast co 20 minut nadlatuje nad rejon wytwórni nowa trójka „Stukasów". Po wyrzuceniu bomb tłuką w nasze pozycje z broni pokładowej, mając 22-milimetrowe działka i kaemy. Ten niemiecki schematyzm w działaniu ma i swoje dodatnie strony, eliminuje bowiem element zaskoczenia. Gdy jednocześnie z rykiem przelatującego nurkowca słychać z góry trzask broni maszynowej, to znak, że nie będzie już bomb, przynajmniej do czasu pojawienia się następnej trójki „Junkersów".

Jedna z półtonówek rozrywa sieć wodociągową w domu mieszkalnym i woda błyskawicznie zalewa piwnice do wysokości przynajmniej pięćdziesięciu centymetrów. Utrudnia to bardzo poruszanie się wewnątrz budynku, a buty, skarpety i spodnie mamy bez przerwy

PAST-a przed zdobyciem (widok z ulicy Próżnej)

nasiąknięte. Trzeba wykopać w poprzek podwórza rów odpływowy, ale brak ludzi do tej roboty. Kowalski nikogo z „cywilów" nie może namówić już do wychodzenia ze schronu pod bomby.

Od południa nasilenie bombardowania nieco maleje.

Nagle — znowu „Stukasy". Rzucają bardzo blisko, sądząc po sile detonacji — chyba w dom mieszkalny. Widzę, jak płat tynku sufitowego wpada do talerza zupy, z którego jadł przed chwilą kapitan „Stefan". Patrzę na kapitana: zastyga z łyżką w nieruchomej dłoni. Nie zwracając już uwagi na jedzenie, unosi głowę znad talerza i nasłuchuje.

Po serii bomb następuje krótka cisza, i, wtem, tuż obok, zdaje się nam, że za ścianą, wybucha tak gwałtowny i gęsty ogień maszynowej broni, że już po chwili terkot zlewa się w jeden grzmiący, nieustanny huk.

Spostrzegam, że serie tną po naszych oknach, bo w tym ogłuszającym łoskocie ucho wyławia jednak drugi dźwięk; słyszę jak grad pocisków grzęźnie w beczkach farby, stanowiących osłonę okien. „Stefan" i „Biały" podrywają się z miejsc, przewracając krzesła i wybiegają z pokoju, pierwszy — do swoich ludzi, drugi — prawdopodobnie do dowództwa.

„Rom" daje komendę: — wszyscy na stanowiska! Chwytając w pośpiechu broń, upychając nerwowo granaty po kieszeniach wypadamy na korytarz. Pędzimy korytarzem bloku „A" w kierunku wyłomu, prowadzącego do piwnic „mieszkalnego", lecz tutaj — stop! Właśnie od strony domu mieszkalnego idzie ogień broni maszynowej w garaże, które musimy przebyć, oraz po całym bloku „A", stojącym z blokiem mieszkalnym „okno w okno".

Jest kilka minut po godzinie 18.

Marchel wysyła „Bogiela", „Lisa" i mnie na pierwsze piętro nad naszą kwaterą, do farbiarni, aby rozpoznać sytuację na widzialnym stamtąd, dość sporym skrawku przedpola.

Część farbiarni pali się. Omijając płomienie dobiegamy do okien, przypadając za parapetami. Widać stąd część terenu poza domem mieszkalnym, w kierunku Wisły. Pierwsza rzecz, rzucająca się w oczy, to cekaem, osłonięty pancerną blachą (chyba „Maxim") ustawiony o jakieś 150 metrów od nas, prowadzący ogień w prawo, poza blokiem mieszkalnym, jak gdyby na Zakątną. Stoi ukosem do nas, więc widzimy leżącą za nim załogę. „Bogiel" starannie mierzy z karabinu, a po strzale następuje rzecz dziwna. Jeden z obsługi podrywa się raptownie, aby natychmiast zwalić się ciężko na ziemię. Prawdopodobnie podniósł się jednak o sekundę wcześniej, niż Boguś nacisnął język spustowy, choć wyglądało to tak, jakby całą „ewolucję" wykonał, już będąc trafiony.

„Lis" chce przygwoździć ich seriami swojej „Błyskawicy", lecz natychmiast zostajemy zauważeni przez innych i po chwili obok nas, na żelaznych beczkach bębnią pociski z maszynowej broni, rykoszetując po sali. Okna tutaj nie są zabarykadowane, wycofujemy się pochyleni, na zgiętych nogach.

„Rom" ocenia sytuację. Do pełnego rozeznania brak mu jeszcze wiadomości z prawego skrzydła, od strony ulicy Zakątnej. Bierze mnie i Andrzeja z sobą; we trójkę biegniemy przez rozległy dziedziniec wytwórniany, znajdujący się pod ogniem. Niedaleko pęka granat, przelatują obok odłamki, lecz nie stwierdzam, aby któryś z towarzyszy został trafiony, ani sam nie czuję bólu.

Sytuacja jest już całkowicie jasna. Nie wiem, kto stanowił czujkę przed domem mieszkalnym w czasie, gdy gościliśmy w kwaterze kapitana „Stefana" i porucznika „Białego", faktem jest jednak, że gdy nastąpił bardzo silny atak „Stukasów", na nasze pozycje i czujka — jak zwykle w takich wypadkach, na czas bombardowania cofnęła się ze stanowisk strzeleckich w głąb budynku, zaraz po ostatniej bombie, jeszcze w tumanach tynku, ruszyło silne, doskonale przygotowane natarcie piechoty. Wdarła się ona przez otwory ruin oraz okna suteren, zajmując dom.

Na razie nikt nie pojawił się w przeciwległych nam oknach domu mieszkalnego. Wynikało z tego, że obsadzili jedynie najniższe kondygnacje budynku i nie poruszają się jeszcze zbyt pewnie po zdobytym obiekcie, prawdopodobnie skoncentrowani w rozległych piwnicach i suterenach. Odwody ich nadal zajmowały pozycje na terenie działek warzywnych, między domem mieszkalnym a Wisłostradą, o tyle bezpieczne, że poza naszym polem widzenia. Razić ich można byłoby jedynie bocznym ogniem ze szkieletu wypalonej szkoły, ale szkoła stanowiła zagadkę. Żołnierze z bramy na Zakątnej nie potrafili nam powiedzieć, czy szkołę również zajęto, czy jest ona jeszcze w polskich rękach?

W bloku „A" ruch. Widzimy kilkunastu ludzi z peemami. Są to żołnierze „Leśnika", tym razem nie z najlepiej nam znanej kompanii „wolskiej", lecz inni, pewnie z kompanii „Jaronia". Przyprowadził ich porucznik „Szary", rosły mężczyzna w polskim „piechociarskim" hełmie, z twarzą okoloną gęstym, czarnym zarostem. Będą wspierać nasze przeciwuderzenie na „mieszkalny", które ma za chwilę nastąpić.

Odczuwam sporą emocję. Przeżyłem już dwadzieścia trzy dni powstania i wiele najróżniejszych agresji, lecz dotąd były to jedynie akcje obronne. Teraz — po raz pierwszy będę uczestniczyć w natarciu.

Marchel zarządza zbiórkę drużyny w korytarzu. Ustawiamy się, szorując buciorami po kamiennej posadzce. „Rom" przesuwa wzrok kolejno po nas wszystkich, mnie przygląda się dłuższą chwilę i widząc, że mam jedynie granaty, zwraca się do Puchalskiego: — *oddaj mu swoją efenkę!*

Odczuwam to jako wyróżnienie ze strony dowódcy i jestem pełen satysfakcji, natomiast Leszek oddaje mi pistolet z wyrazem twarzy niemal płaczliwym, bo teraz on zostaje tylko z granatami.

Przesuwamy się do garażu i czekamy na granaty „Lisa". „Lis" rzuca jak na zawodach, prezycyjnie, jeden po drugim. W dziurze zakotłowało się. Ruszamy. Pochyleni, przebiegamy podwórzem do leju bombowego; przed sobą widzę plecy „Mączki" obleczone w łaciatą, brązowo-zieloną „panterkę". Kolejno zsuwamy się przez ciasny otwór w ciemność i wodę, która sięga prawie kolan i głośno chlupie przy każdym stąpnięciu.

Wychodzimy na środkowy odcinek korytarza piwnicznego, więc rozdzielamy się na prawo i na lewo, w kierunku obu klatek schodowych. Ja skręcam w lewo, jestem obecnie czwarty lub piąty w kolejności.

Ledwie przeszliśmy parę metrów (a z wodzie posuwamy się wolno), gdy z tyłu, z przeciwległego końca korytarza wybucha gwałtowna strzelanina, przez echo zalanych wodą piwnic zwielokrotniona do rozmiarów ogłuszającego grzmotu. Jesteśmy przypłaszczeni do ściany, nikogo nie widzimy, strzelać trudno, bo jeden drugiemu zasłania. Na razie pociski śmigają w ciemnościach obok nas, lecz już po chwili wśród łoskotu strzałów słychać czyjś krzyk: — *bierzcie Rybaka!* — Rybak dostał w brzuch, pada, łapią go pod ręce i taszczą przez wodę. Porucznik „Szary" woła, przekrzykując huk: — *cofać się pomału, pojedynczo na górę!*

Przede mną gramoli się wielki „Bacik". Uwiązł w ciasnym otworze, zawieszony na łokciach. Wymachuje nogami, szukając oparcia, za chwilę rozbije mi obcasem nos, ale to głupstwo w porównaniu z faktem, że spod jego pach z wolna wysuwają się dwie flaszki samozapalnej benzyny. Jeszcze moment, a staniemy w ogniu, zaś pozostali będą odcięci, gdy zapali się jedyne wyjście. Łapię butelki, wsadzam w boczne kieszenie kurtki, podpieram — ile sił — „Bacika" i jakoś wychodzimy. Trwa to najwyżej pół minuty. Za chwilę wszyscy jesteśmy już w bloku „A", unosząc rannego w brzuch Rybaka.

Cały dom jest mocno obsadzony przez nieprzyjaciela, na razie trzeba więc „uchwycić" przynajmniej fragment budynku, jako rodzaj przyczółka, i trzymać się tam do czasu nadejścia większej siły uderzeniowej z głębi wytwórni, dokąd „Szary" posłał właśnie łącznika z prośbą o posiłki.

Znowu jesteśmy w garażach. Ktoś daje osłonę ogniową ostrzeliwując otwór w asfalcie, z którego niedawno wycofywaliśmy się, reszta przebiega przez podwórze. Wielką wyrwą w ścianie wchodzimy do parterowego mieszkania. Orientuję się, że jest to mieszkanie Danki Staniszewskiej, jednej z łączniczek wytwórnianego dowództwa. Drzwi wyjściowe prowadzą na schody, znajdujące się już od frontu budynku, czyli od strony Wisły.

Leon Wieczyński wbiega na podest półpiętra i usadawia się przy okienku klatki schodowej, dla obserwacji przedpola. W mieszkaniu jest nas kilkunastu. Widzę „Roma", „Szarego", „Bacika", „Lisa", „Granita", „Pchełkę", „Bogiela", Witeńskiego, kilku chłopców „Leśnika", którzy przyszli z „Szarym" oraz paru innych, zupełnie mi nie znanych.

W pewnej chwili wygląda na to, że jesteśmy odcięci, tak silny ostrzał kierują Niemcy na podwórze, oddzielające nas od bloku „A". Oprócz kaemów biją granatniki, a wszystko to z boku, od strony zbiegu Rybaków i Sanguszki. Widzę obu Leszków, Bilińskiego i Puchalskiego, przycupniętych po „wytwórnianej" stronie, za jakimś murkiem. Nie zdążyli przeskoczyć razem z nami a teraz mowy nie ma o tym, żeby przedostać się cało. Dają mi jakieś znaki i coś krzyczą, ale huk zagłusza.

Jest niewesoło. Stłoczeni w dwóch pokojach budynku, zajętego przez nieprzyjaciela, w tym momencie — pozbawieni nawet szansy odwrotu, musimy za wszelką cenę rozszerzyć stan posiadania. Widzę jak „Lis", obok niego „Szary", wychodzą na klatkę schodową i z bronią przygotowaną do strzału poczynają iść w dół, do piwnicy. Dołączam do nich, ściskając odbezpieczony pistolet, przy mnie jeszcze ktoś, chyba Tadek Sztora. Nagle — z dołu terkocze seria z pistoletu maszynowego i lecą do góry granaty. Uskakujemy za ścianę, nikt nie jest ranny. Gdy cichnie łoskot wybuchu, słyszymy w dole głosy rosyjskie lub ukraińskie. „Lis" rzuca granaty, po detonacji — nadal ukraińskie przekleństwo.

Raz jeszcze któryś z nas ciska granat, ale znowu bez efektu; tam jest kilka załomów muru i trzeba skomplikowanych rykoszetów, aby pocisk lub granat raził skutecznie. Własowców — sądząc po głosach — jest przynajmniej trzech. W pewnej chwili mówią, abyśmy poddali się; grożą, że w przeciwnym razie wyrżną nas wszystkich „jak sobaki". Rozmowa przybiera charakter wręcz niegrzeczny. Z naszej grupki wysuwa się na „konwersację" Leszek mieszkający niegdyś w Nowogródczyźnie i mówiący dość biegle po białorusku. Posyła im soczyste przekleństwa w ich własnym wydaniu, co wywołuje na dole chwilową konsternację. Gdy tak obrzucają się epitetami, Leszek nagle pyta, czy są żonaci? Pytanie tak zaskakujące, że jeden daje się nabrać na ową „ankietę personalną" i odpowiada, że ma żonę. Wtedy Leszek wyjaśnia mu z całkowitą powagą, że jego małżeńskie pieszczoty skończyły się bezpowrotnie i odtąd małżonka jego, zostawszy niebawem wdową, będzie innych obdzielać swymi wdziękami. Prognoza ta jest wygłoszona oczywiście językiem jędrnym, przy użyciu bezpośrednich, typowo męskich określeń.

Szybko zapada zmrok. Tkwimy nadal w mieszkaniu Danki Staniszewskiej, zablokowani od frontu przez własowców. Na szczęście ostrzał podwórza za naszymi plecami maleje, na tyle, że można przebiegać ze znacznie mniejszym już ryzykiem oberwania „w czapę". Słyszę, jak Marchel z „Szarym" mówią coś o próbie natarcia dookoła domu, wzdłuż Zakątnej.

Za chwilę — nowe starcie z grupą własowców, w dalszym ciągu tkwiących pod nami. Któryś z nich powiada, żeby nie strzelać do nich, bo chcą iść „w plen". Słychać na dole kroki. Kilku z nas, jako pierwsi — „Lis" i porucznik „Szary", zaczyna schodzić, stopień po stopniu, spodziewając się ujrzeć wyłaniające się z ciemności sylwetki z podniesionymi rękami. Byliby to nasi pierwsi jeńcy w PWPW, jeśli nie liczyć wytwórnianych komisarzy.

Nagle, z niezwykłą szybkością wyskakuje własowiec i „handgranat" leci w naszym kierunku!

Ktoś wypuszcza krótką serię do podstępnego łobuza. Uskakujemy za mur. Granat wybucha, nie czyniąc nikomu krzywdy, ale od tej chwili, oburzeni perfidną zasadzką, postanawiamy nie brać ich nigdy do niewoli, choćby nawet błagali na kolanach.

„Rom" konstatuje, że mało już jest granatów, z amunicją też nie najlepiej, wysyła więc mnie do komendy PWPW po uzupełnienie. Idzie ze mną „Lis".

Major „Pełka" poleca komuś, aby zaopatrzono mnie w granaty. Dostaję około dziesięciu, „jajka" oraz polskie granaty „łyżkowe". Upycham je po wszystkich kieszeniach munduru. Wychodząc, spotykam kapitana „Stefana". Wiedząc, że to sympatyczny i przystępny oficer, ośmielam się i jego poprosić o parę granatów, metodą „co łaska"...

„Stefan" uśmiecha się, mówi: — *zaczekaj!* — woła kogoś i za chwilę bagaż mój powiększa się o następnych kilka sztuk. Jednocześnie kapitan wzywa paru żołnierzy, chyba w sile sekcji i każe im iść ze mną do bloku mieszkalnego. Niemal wszyscy oni są z peemami i mają po kilka magazynków amunicji. Sam „Stefan" towarzyszy nam aż do bloku „A".

Przynoszę więc kilkanaście granatów i przyprowadzam kilku dobrze uzbrojonych ludzi. Jest nas teraz znacznie więcej, niż początkowo. Spostrzegam, że nadeszli też jeszcze nowi żołnierze, a przy „Szarym" widzę drugiego, młodego oficera, w okularach. O ile dobrze słyszę, to żołnierze „Leśnika" określają go, jako porucznika „Michała".

W zupełnych już ciemnościach ustawiamy się pod ścianą domu do nowego przeciwnatarcia.

Ustawiliśmy się nad schodami z prawej strony, równoległymi do ulicy Zakątnej, biegnącej za parkanem. Marchel macha ręką. Naprzód!

Schodzimy gęsiego w zupełnej ciszy.

Na dole, o dwa metry przed nami rozpoczyna się rząd okien parterowych, z których dochodzą wyraźne głosy ludzkie. „Rom" przysuwa się do mnie i mówi szeptem: — *Julek, benzyna w drugie okno!*

Wybiegam z szeregu i szerokimi wymachami ręki ciskam do wnętrza kolejno obie butelki. Benzyna bucha ogniem. Na tle ściany pokoju, objętego blaskiem czernieje ciemny prostokąt drzwi, a w nim poruszają się szare sylwetki ludzkie. Natychmiast strzelam z wyszarpniętej zza pasa „siódemki" i ku nieopisanej swej satysfakcji widzę, jak szary kształt obsuwa się w dół. Przywierając lewym bokiem do framugi okna, strzelam powtórnie. Za trzecim strzałem, „efenka" zacina się na amen. Szarpię nerwowo — bez skutku. Trudno w tej sytuacji zabierać się do reperowania pistoletu, nie mając więc praktycznie broni, mogę — dzięki temu — dalszy bieg wypadków obserwować spokojnie, okiem teatralnego widza.

Gdy rzucałem benzynę, a trwało to sekundy, koledzy dopadli parapetów okien z głośnym „hurraaa"! otwierając ogień do wnętrza.

Stoję nadal przy drugim oknie. Ogień i łomot. Klęczący obok mnie Leszek „Bill" raz po raz strzela z karabinu; łuna oświetla twarz „Granita", jest skrzywiony i odchylony do tyłu tak, jakby mocował się z karabinowym zamkiem. Za nimi stoi Puchalski, do ostatniego, narożnego okna strzelają z peemów „Rom" i „Lis", a któryś z żołnierzy „Leśników" co chwila przysiadając na zgiętych nogach, wysuwa się skokami za narożnik domu i posyła krótkie serie ze „Stena" poza budynek.

Atak jest nagły, ogień gwałtowny, tamci prawie nam nie odpowiadają. Kanonada nie trwa dłużej, niż minutę, a „Rom" przebiega za nami wzdłuż linii, wołając: — *Zaprzestać ognia. Będziemy skakać do środka, gotuj się!*

Nagle, gdy już ma być wykonany rozkaz Marchla, niespodziewanie z boku, jak gdyby z ruin szkoły, jedna, druga, trzecia seria maszynowej broni! Na razie górują, bijąc w mur pod oknami, przy których stoimy, ale za chwilę dołączają się detonacje pękających granatów, wystrzeliwanych wyraźnie do nas. Marchel w lot ocenia sytuację, a jest zbyt doświadczonym żołnierzem, aby nie wiedzieć, czym ona grozi. W środku budynku nieprzyjaciel o nie znanej właściwie sile, ale na tyle chyba dużej, że jedynym warunkiem powodzenia naszego miało być wykorzystanie elementu zaskoczenia, z boku (i prawie z tyłu) otrzymujemy natomiast, silny ogień, który lada chwila zacznie być skuteczny. Wówczas zagrozi nam całkowite odcięcie i otoczenie, gdybyśmy wgramolili się teraz do owych paru skrajnych pomieszczeń dużego bloku, zajętego przez nieprzyjaciela. Daje więc „Rom" najsłuszniejszą w tym położeniu komendę: — *cofać się, pojedynczo na górę! Tylko spokojnie.*

Jest już zupełna noc. Podczas naszej akcji wzdłuż Zakątnej, grupa „Szarego" nadal trzymała w swych rękach drugą klatkę schodową, skoncentrowana przez cały czas w owym rozbitym, parterowym mieszkaniu środkowej części budynku. Obecnie zbieramy się tam wszyscy. Po jakimś czasie obserwatorzy i szperacze meldują, że wygląda na to, iż nieprzyjaciel stopniowo ustępuje z zajętych uprzednio pomieszczeń. Postępując ostrożnie naprzód, przy wymianie ognia zaczynamy coraz bardziej odzyskiwać teren w środkowym odcinku domu.

Schodzimy poprzednią drogą niemal bezszelestnie. Po dojściu do znajomych okien ani my nie otwieramy ognia, ani do nas nikt nie strzela. Zupełna cisza. Jeden po drugim wdrapujemy się na parapety i zeskakujemy do zimnej wody, sięgającej połowy łydek. Wzdragam się, przez prawie dziesięć godzin trochę odzwyczaiłem się od brodzenia w przemoczonych skarpetach i przemiękłych butach.

Cały parter prawego skrzydła budynku jest pusty. W pokoju, o którego ścianę rozbiłem niedawno zapalające butelki, znajdujemy leżące w wodzie dwa zakrwawione buty niemieckie, których wysokie cholewy rozprute są bagnetem, widocznie dla jak najprędszego uwolnienia przestrzelonej i puchnącej nogi. Ci z dalszych, frontowych pomieszczeń informują półgłosem, że z ich strony leżą trupy niemieckie.

(Fragment powieści „Z tasiemką na czołgi", która ukaże się nakładem KAW).

TARGOWISKO ZŁEGO GUSTU

(Dokończenie ze str. 1)

Plac Niepodległości ma dwa oblicza: jedno — to część parkowa z krańcówką autobusów „A" i „C", przystankami tramwajowymi, „Uniwersalem" i kawiarnią „Rarytas", drugie — to Hala Targowa, owo gigantyczne ujście handlu wyrobami zagranicznego rynku obliczonych na prymitywnych odbiorców, to miejsce, gdzie tradycje złego gustu przeżywają na nowo swój renesans. W dni słoneczne, kiedy wokół hali ustawiają swoje stragany sprzedawcy warzyw, kiedy można rozwiesić setki ubrań szytych według nikomu nie znanych wzorów, kiedy przepojone ostrą wonią rozgrzanych ciał powietrze zafaluje od krzyków — targowisko staje się tym, czym jest w rzeczywistości: miejscem wyprzedaży złego gustu.

Jeszcze nie zdążyłem wmieszać się w tłum, a już ogarnął mnie ów pośpieszny niepokój, z jakim tysiące przybyłych tu ludzi stara się coś sprzedać lub kupić. Jaskrawe kolory bibelotów, taniutkich jarmarcznych pierścionków, piłeczek, wachlarzyków, gwizdków i tysięcy innych drobiazgów zmuszają do zatrzymania się, obejrzenia, targowania.

— **Marynarka pana prezydenta!** — krzyczy mi ktoś nad uchem. — **Historyczna garderoba!**

Mężczyzna trzyma uniesioną wysoko szarą, niepokaźną marynarkę. Obok niego zebrał się już spory tłumek ciekawskich.

— **W tej marynarce prezydent podpisywał najważniejsze akta! Przyjmował obce poselstwa, przypinał ordery! Ludzie, mówię wam szczerze, jedyna okazja! Chodzić w takiej marynarce, to jakby samemu być prezydentem!**

— Przepraszam — poczułem nagle w sobie żyłkę hazardzisty. — Czy to część stroju prezydenta Mościckiego?

Mężczyzna uśmiechnął się z politowaniem.

— **Przedwojennyś, a na niczym się nie znasz. To po prostu marynarka prezydenta.**

— Ale którego?

— **Chytryś** — mężczyzna pokazał ponownie żółte od nikotyny zęby. — **W politykę mnie chcesz wrobić. Nic z tego.**

— Skoro kupuję, to chcę wiedzieć, który z prezydentów ją nosił.

— **Prezydent. Starczy?**

— **Co się pan czepiasz?** — zaczęto pokrzykiwać z tłumu. — **Jak nie podchodzi, to daj drugim obejrzeć.**

— Co to kosztuje? — nie chciałem opuścić pola pokonany. — Widzę, że troszkę jakby przetarta...

Sprzedający z irytacją popukał się palcem w czoło.

— **Przecie w niej pracował, no nie? Na łokciach wytarta, bo ciągiem pisał. Jasne?**

Niestety, nie kupiłem „marynarki pana prezydenta", choć kosztowała zaledwie 400 złotych. Jestem ambitny, ale nie snob. Zresztą zaraz chwycił ją ktoś inny, uniósł, zaczął oglądać podszewkę, nawet wyskubał skądś kawałek włókna i przypalał nad zapalniczką.

Wejście do Hali Targowej kojarzy się z wejściem do bunkrów: ciemne, wilgotne, ziejące kwaśno-gorzkawym powietrzem. Ale to tylko pierwsze wrażenie, bo zaraz natknąłem się na pokurczoną kobiecinę w łachmanach, która zaczęła mi podtykać pod nos złote pierścionki z brylantami, twierdząc, że to jedyna i niebywała okazja. Ponieważ pochodzę z rodu, który nigdy nie posiadał, ani rodowych majątków, ani kosztowności, a jedynym wartościowym przedmiotem jaki mamy do dziś są obrączki ślubne, nie bardzo wyznaję się na wyrobach złotniczych, a już zupełnie nie znam się na szlachetnych kamieniach. Zresztą, na widok takiej ilości wyrobów ze złota zjawił mi się nagle w mej pamięci obraz z pewnej miejscowości rumuńskiej, kiedy to do naszego autokaru weszła Cyganka i za bezcen sprzedawała błyszczące, złote obrączki. Rodacy byli zachwyceni udaną transakcją. Dopiero po kilku godzinach złoto szczerniało, straciło blask, stało się matowe.

— Nie kupię — powiedziałem do kobiety. — Nie mam pieniędzy.

— **To po co pan tu przyszedł?** — niemal krzyknęła histerycznie. — **Szpiclować?**

— Nie mam pieniędzy na złoto. Kupię coś bardziej taniego.

— **Może zegarek?** — zainteresował się brudny człeczyna z kilkudniowym zarostem oparty o ścianę. — **U mnie masz pan wszystko: szwajcarskie, amerykańskie i radzieckie.**

Odchylił połę marynarki: dziesiątki czasomierzy zalśniły matowo w ciemnym przedsionku hali.

Nie mogłem opanować cisnącego się pytania:

— Ma pan taki majątek, a chodzi pan jak ostatni dziad. Dlaczego?

Mężczyzna z gniewem i pogardą popatrzył mi w oczy.

— **Gówno to kogo obchodzi, jasne?**

— Jasne — odpowiedziałem i wszedłem do hali.

Wszystko, co na zachodzie Europy stanowi formę reklamy samochodów, wyrobów tekstylnych, imprez rozrywkowych i co można garściami brać w wielkich magazynach i salonach wystawowych, tu jest przedmiotem handlu. Cała lewa strona hali pstrzy się kolorowymi nalepkami, reklamówkami firm, plastykowymi torbami. A obok tego, w odpustowych kolorach, leżą bluzki, swetry, koszule: jaskrawa zieleń w zestawieniu z mdłym różem, żółć z czerwienią, czerwień z jasnym amarantem. Trąbki, taniutkie zegarki tzw. „buksiaki", cukierki, guma do żucia, lalki, radzieckie perfumy i krem poziomkowy. Migają napisy: **safari, safari super, West, Khaki, UFO, US Army, US Pilot.** Ludzie się tłoczą bo to modne, to się nosi przyszyte do koszul, do spodni, do czapek, a kosztuje jedyne 40 złotych. Stosy towarów, wymiętych koszulek sportowych (w handlu uspołecznionym koszt takiej koszulki nie przekracza stu złotych, ale sprytny i przedsiębiorczy handlarz wydrukował na niej imię dziewczyny i już cena skoczyła do 250 zł!), spodnie w wychodzącym z mody kolorze khaki, chustki, apaszki. Osobny rozdział tego swoistego handlu stanowią zdjęcia porno, oraz talie kart z cycatymi damami.

— Ile? — pytam faceta stojącego za niewielką ladą, na której leży jedna jedyna talia.

— **250.**

— Porno?

— **Same akty.**

— Potrzebuję porno — mówię. — I to sporo.

— **Zaraz** — mówi facet i coś szepcze drugiemu. — **Chodź pan na stronę.**

Odchodzimy parę kroków i stajemy w tłumie: ot, dobrzy znajomi, którzy zatrzymali się na papierosa.

— **Ile pan tego chcesz?**

— Pięćset talii — mówię.

— **Oho** — bulgocze z uznaniem. — **Hurtownik.**

— Prowadzę mały salonik — kłamię. — Talia starcza na jeden wieczór dla jednego stolika. Ludzie chcą też od czasu do czasu na coś popatrzeć...

— **Ja o nic pana nie pytam. Chcesz pan karty, będziesz je pan miał.**

— 250 to za drogo — udaję, że coś obliczam. — Bez rabatu nie wezmę.

— **Czy ja mówię, że chcę od pana po 250? To dla amatorów. Kiedy pan to chcesz mieć?**

— W przyszłą środę, mniej więcej o tej porze.

Ściskamy sobie ręce i rozstajemy się. Udaję, że oglądam pseudomoherowy pulower w różowe pionowe pasy. Facet mówi coś szybko drugiemu i pokazuje na mnie. Drugi przygląda mi się przez chwilę, kiwa głową i odchodzi. Zaczynam odczuwać mrowienie na plecach. Jeśli mnie rozszyfrowali — nie uniknę mordobicia. Pamiętam jak jeden z moich kolegów dziennikarzy chciał nagrać na taśmę kilka scenek z tejże Hali Targowej, lecz ktoś zauważył wystający z kieszeni mikrofon. Ledwo zdołał umknąć i przez kilka miesięcy nie pokazywał się w tych stronach. Udaję więc, że nic się nie stało i dalej przesuwam się wzdłuż ustawionych straganów, broniąc się przed natarczywą zachętą do kupna czegokolwiek, której mi nie szczędzą kobiety siedzące po drugiej stronie. A po tej drugiej stronie, za ich plecami są sklepy uspołecznione. Po przez ogromne szyby widać, że ruch tam jest mierny, a i towar mniej atrakcyjny, aniżeli na hali i ekspedientki nie mają tego wigoru, co jazgotliwe baby w wyszmelcowanych sukienkach.

Towar do Hali Targowej napływa szeroką rzeką. Jeśli czegoś nie ma dziś — będzie jutro, pojutrze, za tydzień. Określenie „nie ma", „nie dowieźli", nie istnieje. Wymyśliłem na poczekaniu krój i wzór męskiej koszuli, wiedząc, że takowej tu nie znajdę. Kiedy wyłuszczyłem tęgiej sprzedawczyni o co mi chodzi, o jakie metki, guziki, kołnierzyk, wcięcia i zapięcia, tylko pokiwała ze zrozumieniem głową.

— **Musiałby pan opowiedzieć to krawcowej, sama tego nie powtórzę.**

— To ja narysuję.

Wyrywam kartkę z notesu i szybko szkicuję moją wyimaginowaną koszulę-wdzianko. Kobieta przygląda się z uwagą rysunkowi, pokazuje innym.

— **Musi być nie nasza** — stwierdza.

— Nie nasza — potakuję. — Model australijski. W takich poluje się na kangury.

— **Chyba nic z tego. Może krawcowa potrafi uszyć, ale takich napisów u nas nie ma. Co to znaczy „YSOŁGDO"?**

— To ich najlepsza firma — mówię, choć chce mi się śmiać, bo to przecież odwrócona nazwa mojego tygodnika „ODGŁOSY".

Naprzeciwko straganów z ciuchami i pamiątkami ciągną się stoiska swoistych rodzimych bukinistów. Ale zanim docisnąłem się do książek, przez chwilę obserwowałem piękne widowisko w wykonaniu dwóch panów i pani. Jeden z panów był właścicielem wyłożonych na sprzedaż książek, natomiast pozostała dwójka była jego gośćmi. Co prawda trafiłem na sam finał zdarzenia i nie wiem o co poszło, ale żądanie podpitej pani było jednoznaczne.

— **Powiedz, skurczybyku, że jestem porządna, no, powiedz im! Słyszysz, ludzie czekają żebyś to powiedział!**

— **Odwal się, Krycha, bo stracę nerwy.**

— **Zygmunt, słyszysz? On straci nerwy! A mnie to gówno obchodzi! Musisz powiedzieć publicznie, że jestem porządna, słyszysz?**

— **Co to ja, urząd, czy co?** — mężczyzna odwrócił się i chciał odejść, bo ktoś akurat sięgał po „Kuchnię polską".

— **Nie wiesz? Spał ze mną, a teraz nie wie! Alfons!**

— **Zygmunt, zabierz ją stąd, bo nie gwarantuję za siebie. Jak pragnę Boga, rozduszę jej twarzyczkę, że żaden lekarz nie sceruje.**

Sądziłem, że teraz pozostały już tylko pięści, albo noże. Nic z tego. Zjawili się jacyś podpici kumple, rozdzielili naindyczonych panów, kobietę powiedli ku wyjściu. Od razu wszystko wróciło do normy, ktoś przyniósł piwo, zerwał kapsel i sprzedawca łapczywie ciągnąc z butelki zaczął odpowiadać na pytania kupujących.

— **Ile za „Kuchnię polską"?**

— **550.**

— **A za „Atlas samochodowy Polski"?**

— **450.**

— **Co kosztuje „Encyklopedia"?**

— **Jednotomowa — 1.500, czterotomowa — 5 tysięcy.**

— „Dzieje Polski" w księgarni kosztowały 300 złotych — mówię, biorąc do ręki opasły tom.

— **U mnie 750. Normalnie to idzie po osiem stów, bo papier dobry.**

— Widzę, że ma pan „Sztukę kochania"...

— **Jedyne 400 złotych.**

Ktoś wyszperał Ditfurtha „Na początku był wodór", ale usłyszawszy, że kosztuje 300 złotych, z ociąganiem położył.

Książek jest sporo. Obok dzieł wartościowych, które osiągają tu zawrotne ceny, dużo jest zwyczajnej makulatury, sieczki wydawniczej sprzed wojny, powojennych bubli, o których dziś nie pamiętają nawet bibliotekarze.

— Szukam „Trędowatej" — mówię bez przekonania, a smutek malujący się na mej twarzy potwierdza szczerość słów.

— **Chwilowo nie mam** — mówi sprzedawca otwierając kolejną butelkę piwa. — **Mogę dostarczyć w rękopisie.**

— Oryginał?! — nie wierzę własnym uszom.

— **Przepisaną ręcznie** — wyjaśnia. — **Kiedyś kosztowała trzy stówy, teraz pięć, sam pan rozumie, ceny idą w górę.**

— Rozumiem — mówię. — przyjdę jutro.

Krążę po hali walcząc z pokusą wyjęcia notatnika i utrwalenia tego wszystkiego czego nie zdołam zapamiętać. Obok mnie przewala się gęsty tłum kupujących i sprzedających. W powietrzu stoi ostry i ciężki zaduch. Gorąco. Spoglądam na twarze. Większość ludzi starszych, lecz są tu także młodzi chłopcy i dziewczęta, dla których sterczenie za ladą usłaną sztucznymi pierścionkami stanowi szczyt kariery. Wiem, że na pobliskim parkingu czekają na nich fordy, łady, a w najgorszym razie rodzime fiaty. Wiem, że dla nich pieniądz zaczyna się liczyć gdzieś od stu tysięcy wzwyż, że gdzieś się budują, kupują mieszkania za dewizy, że co roku wyjeżdżają na zagraniczne dalekie wycieczki. Mimo to jestem przekonany, że zmarnowali swoją młodość, dali się zwieść łatwym zarobkom, pozornej lekkości życia. Obserwowałem reakcję jednej z dziewcząt sprzedającej naszywki na spodnie, kiedy przed jej stoiskiem zatrzymała się para jej rówieśników. Dziewczyna była ubrana skromnie, na palcu miała srebrny pierścionek ze znakiem zodiaku, chłopiec był w dżinsach, koszulce polo i okularach. Lecz rozmawiali ze sobą pięknym językiem, pełnym pieszczotliwych słów, ciepłych odcieni. Byli w jej wieku, z tego samego miasta, a przecież inni, jakby z innego świata, do którego sprzedawczyni naszywek na spodnie nigdy nie trafi.

Po raz któryś przemierzam w koło Halę Targową, przyglądam się przepływającemu przez nią ludzkiemu strumieniowi. I nachodzi mnie refleksja, że jest to miejsce, gdzie trafia to wszystko, co drobny przemyt zdołał przywieźć do kraju, co uniknęło kontroli celnej, albo co na zachodzie Europy stanowi bezwartościową reklamę. Tak bardzo chciałem odnaleźć stoiska rzemieślników, wyroby o pięknych wzorach, przedmioty potrzebne i praktyczne. Lecz gdziekolwiek kierowałem wzrok, wszędzie napotykałem stosy żałosnej tandety, wyroby mogące zaspokoić najbardziej prymitywny smak i gust. I za to, za te wszystkie niedbale wykonane zdjęcia gwiazdorów, za kolorowe i mdłe portrety Jana Pawła II (większy — 62 zł, mniejszy — 20), za butelki oklejone korą, za jelenie „jak żywe" — żąda się sum przewyższających wszystkie oficjalne cenniki razem wzięte.

Na całym świecie trwa zacięta dyskusja o sztuce, o estetyce tego, co nas otacza. Sprzeczają się artyści, socjologowie, psychologowie. Twórczy niepokój nie ominął także Polski, wystarczy przejrzeć prasę, posłuchać radia czy tv. A tu nagle, w centrum kraju, niemalże w pępku milionowej Łodzi, trwa spokojne życie szmiry, prostactwa i tandety. I znajduje nabywców.

I właśnie to, w całej tej sprawie, jest najsmutniejsze.

Foto: R. Łucyszyn

EUGENIUSZ IWANICKI

(Dokończenie ze str. 1)

A jednak myślę, że przyżyłem coś, co stało się własnością wyłącznie moją. Rzuciłem swoje przekłady z Łesi Ukrainki, a żona zaczęte „Pożegnanie z misiem" i wybraliśmy się nad jezioro Ptasie. Takie średnie, a więc z owych setek, o których przewodniki milczą. Leżało za łąkami w dole, w lewo od szosy ku Ruskiej Wsi. Kilometr za suszarnią.

Prażyło słońce. Z lekka omglone i wprawiane w środek długiej wąskiej pozłacanej chmurki, przypominało silnie podświetlony, ogromny opal. Pachniało wszystkimi wonnościami lata, gorąca, gleby bielicy, ziół, wnętrz leśnych, wód tatarakowych i wód otwartych. A trzeba też wiedzieć, że ludzi tu wszędzie mało, znacznie mniej niż we wsiach Polski środkowej i że tu człowiek jeszcze nie wszędzie uczynił ziemię sobie uległą, że jeszcze nie przebił dróg do wszystkich jezior i nie zalał ich smrodami. Jeziora też odgrodziły się od niego fosami oparzelisk, torfowisk, ostrokołami otrzęsin, zamaskowały się tatarakiem i ani myślą rzucać człowiekowi mostów zwodzonych w postaci punktów widokowych, złotych piaseczków na plaże itp. A prawdę rzekłszy tutejszy mieszkaniec i (na szczęście) tzw. zorganizowany turysta, niezbyt się nimi interesuje.

A otóż i człowiek na horyzoncie, tam w dole na wielohektarowej łące. Na siodełku kombajnisty. Czerwona machina z drobnym w tej odległości jeźdźcem przypomina wielkiego i w dodatku osobliwie czerwonego pasikonika. Wygląda z dala bardzo malowniczo i buszując w trawie bynajmniej nie sprawia wrażenia intruza, jakowegoś ufo w pierwotnej naturze. Kombajn dochodzi równo jak liniał tam i z powrotem, jakby śladami opon kreślił precyzyjny ścieg po transparencie łąki. Ścinana trawa już za ułamek sekundy spada w postaci drobnej sieczki, nieustającą gęstą smugą, do pudła przyczepy. Ale często i poza przyczepę, na ziemię.

Zwróciłem uwagę inżynierowi Nowaczykowi na owo gubienie przez kombajn pewnych ilości skoszonej trawy. Bodaj to było następnego dnia, kiedy pokazywano nam suszarnię i mieszalnię pasz treściwych — obie w końcowej fazie rozruchu. A więc przemyślne piece podgrzewające zielonki do temperatury, kiedy puszczą soki żywne i trawne o najwyższych dla zwierząt hodowlanych wartościach kalorycznych. A więc taśmy transportu wewnętrznego — od podjeżdżającego kombajnu po wsypywane przez automat do worków brykiety pasz porcjowanych.

— A tak, człowiek kosą kosi znacznie dokładniej — zgodził się pan Jerzy. — A sierpem jeszcze jak dokładnie — dodał z podejrzaną powagą. A potem serio, choć aforystycznie: — Każdy awers ma swój rewers — i krótko: że straty są iluzoryczne (naturalny kompost), korzyści zaś niewspółmierne (czas i oszczędność pracy ludzkiej, w dodatku niesłychanie znojnej). A to zmniejszenie do całkowitego minimum czasu na sianokosy (jest też, tak jak ja, przeciwnikiem zubożania tak do niedawna bogatego polskiego języka agronomicznego przez różne gazeciarskie dziwolągi w rodzaju „małych żniw") i zwózkę, zmniejsza niesłychanie ryzyko wydawania zbiorów na pastwę sadystycznie złośliwej aury. Rzeczywiście, kombajny i nowa suszarnia niebawem walnie przyczyniły się do ocalenia plonów i żywiny przed skutkami tamtych wielotygodniowych słot, które dały się nam w ubiegłym roku tak mocno we znaki.

Zeszliśmy z żoną ku przeczuwanemu jezioru, skrajem owej łąki, właściwie bezdrożem między olszyną a zieleniami, fioletami, amarantami, cyklamenem, berberysem, szafranem i całym barwistanem tej aż nierealnej łąki. Potem, gdy ziemia zaczęła się leciutko pod stopami uginać i wzbierać czarną mazią na śladach, żona — której, wspomniałem już, obcy jest duch traperstwa i rozkosze pogardzania trotuarem, zaczyna mnie gwałtownie informować, a to że nie

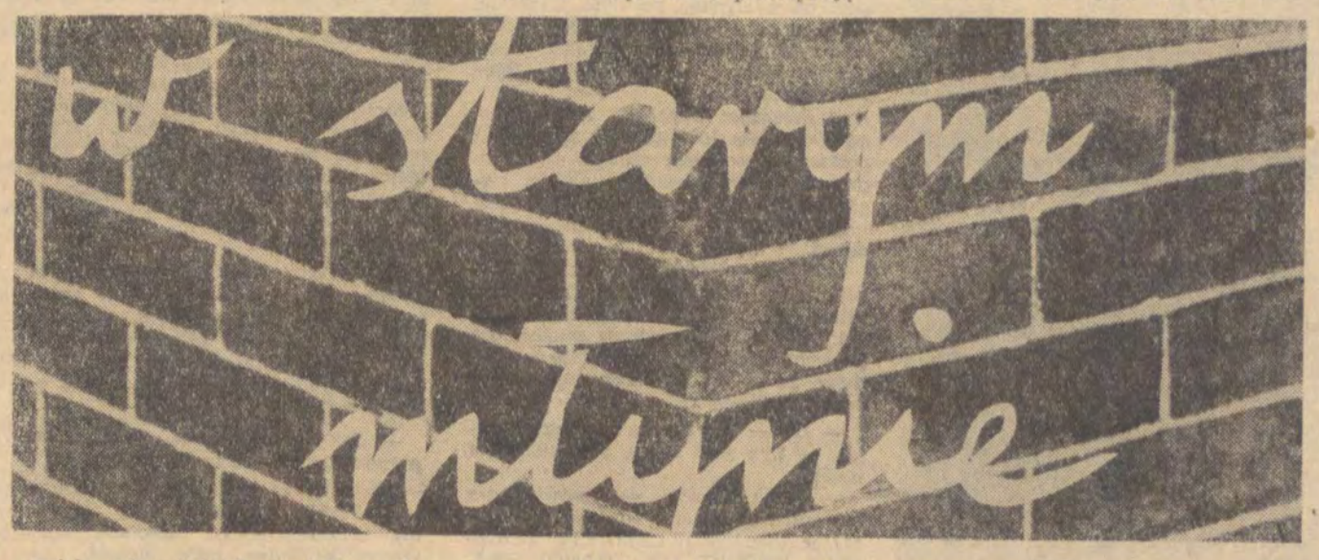

wzięła odpowiednich pantofli, a że możemy się spóźnić do stołówki na obiad (choć mamy jeszcz trzy godziny czasu). I żeby mi, broń Boże, nie przyszło na myśl usiąść na mokrym, bo jak pani Drzeniowa raz tylko usiadła, to...

Od coraz bliższego jeziora dochodziły rozkazujące nawoływania czajek, w rosiczynie popiskiwały nieznane szare ptaszki. Coś silnie plusnęło niedaleko brzegu za tatarakiem tak silnie, że to mogła być nawet ukoronowana w Mikołajkach na monarchinię tutejszych jezior sielawa — władczyni, dla podobnych mnie staruchów równie hojna, co Złota Rybka w bajce Aleksandra Siergiejewicza... Żona została w tyle, potem stanęła w miejscu w postawie: mam wszystkiego dosyć. Ostro ruszyłem w lewo.

Przedarłem się przez szczególnie włochate i wilgłe zielska i mchy jak z żelatyny i nagle znalazłem się na suchej polanie barwy najczystszych szmaragdów, wypisz, wymaluj celtycka łąka, jak te, po których galopowali ku szlachetnym celom rycerze Okrągłego Stołu. A tuż obok nie zarosła, wypolerowana jak tarczą na miedziorytach Dorego toń jeziora. Lecz nie to najważniejsze. Najważniejszy był koń.

Bodaj nawet nie pasł się. Stał z łbem zadartym, śnieżnobiały, długogrzywy, ognioоki. Koń z baśni. Przysiągłbym, koń Parsivala, bądź któryś z trzech rumaków na znanych pastelach Szancera do baśni Jerszowa. O metr przed koniem drgał ciśnięty z obłoków, wbity w ziemię oszczep słonecznego promienia. Koń i bez uzdy i bez czapraka. Sam na tym bezludziu. Skąd on? Wyobraźnia „orzekła", mądrze — niemądrze, że to sobowtór świętego konia pruskich Gelingów, bliskoplemiennika rugijskiego Światowita. Po chwili orzeczenie „ustala", iż jest to archetyp: przygalopował tu z ery upadłych w ciągu tysięcy lat na niższe piętra świadomości urzeczeń pierwszych plemion.

Po raz pierwszy od lat przeżyłem ponownie chwilę niemal rozpaczy, że oto nie jestem malarzem. Bo niesamowitego piękna tego obrazu słowa przecież nie oddadzą.

Pod koniec pobytu chciałem pokazać jezioro Ptasie córce i zięciowi, którzy przyjechali po nas z Łodzi autem. Na ponowne ujrzenie konia nie miałem nadziei, zwłaszcza, że zbliżał się przedwieczór. Za to dobiegł do mnie zza przyjeziornej otrzęsiny ów dziwny płacz-spazm tajemniczego już dziś bekasa. Zięć szybko rezygnował z desantu z auta w mokrości trawy. Córka patrzała w ślad za niepoważnie przemykającym wśród mokradeł ojcem — oczyma osoby dorosłej.

PGR SZESTNO

A teraz o samym pegeerze, z którego gościnności korzystaliśmy w czerwcu 1978 roku. Korzystaliśmy, dzięki niemu zwiedzaliśmy, dziwiliśmy się ludziom i lasom i pisaliśmy, co każde z nas miało pilnego do pisania.

Gospodarzy — nie bagatela — na 7.300 ha. Zresztą mówią nam, że to wcale nie jest tak dużo. Na północ od nas rozciąga się PGR, którego kierownictwo z konieczności objeżdża włości... helikopterem.

W nazwie PGR Szestno człon „Szestno" jest umowny. To tylko jeden z 8 zakładów rolnych (w języku przedwojennym — wsi, folwarków). Tu, gdzie znajduje się niejako punkt dowodzenia: biura dyrekcyjne, baza, centrala telefoniczna. Poza zakładami rolniczymi jest kilka specjalistycznych: Przemysłu Rolnego (suszarnia i mieszalnia pasz), Remontowo-Budowlany i Usług Socjalnych (to te „dobre duchy" w Młynie).

W całym gospodarstwie pracuje 834 ludzi, co nie jest dużo, zważywszy ogrom ziemi i zadań produkcyjnych (przy czym kulturalno-socjalne nie są bynajmniej na ostatnim planie, jak to nieraz bywa; pracuje w tym pionie około setki pracowników i mają pełne ręce roboty). Głównymi kierunkami produkcyjnymi są: hodowla bydła (6.400 sztuk, czyli w dzisiejszej terminologii — stanowisk) i nierogacizny — 15.000. (Nie wiem, jak brzmi urzędowy termin: żłobów? ryjów?). W ubiegłym, bardzo niedobrym (po naszym wyjeździe) roku, plony wynosiły 33 z ha!

Za najlepsze wskaźniki produkcyjne oraz osiągnięcia w dziedzinie pracy kulturalno-oświatowej gospodarstwo otrzymało: dwukrotnie Sztandar Przechodni Zjednoczenia Olsztyn (widzieliśmy je w Izbie muzealnej PGR), w lutym zaś 1979 roku — wysoki tytuł Zakładu Pracy Socjalistycznej (o czym jeszcze nie mogliśmy wiedzieć w czerwcu 1978 r.). W tym też czasie naczelny dyrektor Szestna, inż. Michał Chodorowski zwyciężył w plebiscycie czytelników „Gazety Olsztyńskiej" na tytuł „Olsztynianina Roku".

Tu nie mogę odmówić sobie satysfakcji poinformowania PT Czytelników, że pan Michał dyrektorem jest wcale niezwykłym. Jak się taki uchował w tym światku, gdzie panuje odnośny savoir vivre i metody z dziedziny walki o rynek i zaopatrzenie, nie mówiąc już o technice „układów"? Nie pije, nie ceni roz-koszy wypełnionego żołądka, jest wrogiem papierosów. Ten pogodny, nie zadzierający nosa, otwarty człowiek — a przy tym fantastyczny organizator — był czynnym sportowcem, a i teraz, w wieku już... całkiem średnim, uprawia jeszcze i tę i ową dyscyplinę. Stąd też w jakiejś mierze jego daleko wkraczająca poza obowiązki formalne opieka nad rozlicznymi sekcjami sportowymi PGR i nad zakładowym ośrodkiem sportowo-rekreacyjnym nad jeziorem Czad.

Zakład Usług Socjalnych prowadzi 7 klubów i świetlic, 6 stołówek, przedszkola, 3 punkty zdrowia, bibliotekę z siedmioma filijkami terenowymi (o jej kierowniczce już było. Zrobiła niedawno magisterium z filologii polskiej, niezwykle obowiązkowa, nie posiada absolutnie daru zwracania uwagi na siebie i na swe osiągnięcia w pracy), Zakładowy Ośrodek Kultury, otwarty dla całej ludności okolicznej (co jest, jak pisze prasa, posunięciem nowatorskim, jako że w innych pegeerach nie praktykowanym, z licznymi zespołami: muzycznymi, folklorystycznymi, recytatorsko-teatralnymi). Około 40 proc. pracowników podniosło w ostatnich lata, poprzez szkolenie, swoje kwalifikacje zawodowe i ogólne. A więc akt przyznania Szestnu tytułu Zakładu Pracy Socjalistycznej nie był posunięciem na wyrost, ani „z układów".

PGR, dla częściowego przynajmniej uniezależnienia się od usług wielkich przedsiębiorstw budowlanych (wiadomo, jak bardzo mają zapchane portfele i jak unikają nietypowych robót „mało przerobowych") stworzył własny Zakład Remontowo-Budowlany. Młody, ma już na swym dorobku 50 oddanych do użytku i sporo wyremontowanych mieszkań dla załogi. Przeprowadził też rekonstrukcję, konserwację i adaptację naszego historycznego Młyna. (Już trzy tygodnie mieszkamy przy deszczu i przy pogodzie i nic nie przecieka, nie pęka, nie zalewa, nie urywa się!).

O Zakładzie Przemysłu Rolnego była mowa. Ta „fabryka pasz", choć znajduje się dopiero w okresie docierania się, rozruchu, dała już 5.000 t suszu zielonkowego, 15.000 t mieszanek pasz treściwych i 1.000 t pełnoproporcjowych pasz brykietowych. O tym białym zakładzie w podkowę, doskonale zharmonizowanym z zielenią łąk po krańce horyzontu, i o jego współtwórcy i opiekunie, dyrektorze Nowaczyku można by nakręcić film: „Suszarnia moja miłość". W domu kłopotów co niemiara, ma miłą, oddaną rodzinę, a wciąż wolne i niewolne chwile spędza przy raczkującym zakładzie, bądź w polu. Pasjonujący człowiek dla pisarza i psychologa. Niezwykły węzeł nadwrażliwego poczucia odpowiedzialności kultu dobrej roboty i nerwicy. Przy tym cechuje go całościowe widzenie złożonych problemów gospodarczych kraju i Europy, zainteresowania szeroko humanistyczne; mówi sprawnie, spokojnymi, wykończonymi zdaniami, przestrzega tak trudnej do przestrzegania przy jego trybie życia i rodzaju pracy schludności ubioru...

Znowu siada za kierownicę, by sprawdzić, czy w suszarni wszystko w porządku. Mieszka nie tu, tylko w Mrągowie. Wróci w porze tysiąca mgieł. Już raz, o mało takiego doglądania nie przypłacił życiem. Była noc. Coś wyjechało z boku... Znaleziono inżyniera pod szczątkami auta ciężko rannego, nieprzytomnego. Moce medycyny przywołały go cudem niemal już z tamtego brzegu. Wydawało się, że trwałą pamiątką tego otarcia się o śmierć będzie lęk przed kierownicą. Gdzie tam! Jeździ tam i wszędzie, gdzie czuje się przy produkcji potrzebny i gospodarskim okiem tuczy... wszystko prócz koni (zdaje się, że nie ma ich w PGR Szestno).

Wpadła mi już teraz w ręce w Łodzi „Gazeta Olsztyńska" stamtąd. Autor informuje, — a w informacji można się domyślić nawet i pewnego zdziwienia, że zastępca dyrektora w trakcie podejmowania dziennikarzy przez kierownictwo PGR (kiedy to odwieczna konwencja, a i interes własny instytucji i gospodarzy nakazuje szczególną słodycz bycia oraz wytwarzanie atmosfery stanowiącej swoistą mieszaninę optymizmu, eksponowanego zapału i wylewnej „domatorskiej" gościnności), raptownie zerwał się i bez słowa popędził na pole, gdyż wypatrzył przez okno szparę w chmurach. A to było w epoce klęski deszczu. Oto i cały właśnie Nowaczyk!

Chwaląc go w tym akapicie, nie chcę bynajmniej pomniejszać zasług i oddania pracy Naczelnego. Kiedy źli bogowie podrzucali nam coś jakby pierścień Atypolikratesa i wciąż klęski i klęski, Naczelny pchnął do pracy przy żniwach nie tylko cały personel urzędniczy i socjalno-artystyczny, lecz i z domu miłą panią Jadwigę (żonę), dzieci i... siebie. I to nie dla pokazania się przed kamerą telewizyjną. Bodaj ich nawet nigdy tu nie było. Do pracy całkiem serio, przez wiele godzin zaciekłego deszczu. I nie przez jeden dzień.

Ale to wszystko było już grubo potem. Po tamtym czerwcowym popołudniu, kiedy to nad nieruchomym zegarem na wieżyczce spichrza skinął bocian dziobem, poruszyło się powietrze, drgnęły liście grabu, ożyły zostawione w domu, mieście i miejscu pracy uśpione sprawy, rozróby, nieporozumienia, pilne terminy... i nastał dla nas czas odjazdu.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

KOGUT MISTRZA FONKA

Ulica 8 Marca. Dzień jak co dzień. Mijałem znane mi od miesięcy z widzenia twarze dziewcząt śpieszących z nocnej zmiany, uśmiechające się figlarnie. Tam, na przędzalni, między furkoczącymi rzędami wrzecion, zebrane w grupie, bywają agresywne. Czują się bardziej pewne siebie. Przygadują śmiało chłopcom remontującym maszyny.

Minąłem tory tramwajowe na ul. Kilińskiego. Już od miesięcy tędy wędruję do pracy. Po lewej, w głębi parku, pałac fabrykancki. Za pałacem — przędzalnia odpadkowa. Po prawej stronie — boisko „Włókniarza", pompa „mamut", zasilająca w wodę przędzalnię, a przy okazji i basen kąpielowy. Dalej — przędzalnia średnioprzędna, która jest bezspornym centrum Księżego Młyna.

Tu, między ul. Kilińskiego a Piotrkowską, trwa królestwo bawełny, jak zwykłem określać ten fragment miasta w dyskusjach z rodzicami. Ojciec — kolejarz z podlwowskiej mieściny, jeśli coś wiedział o włókiennictwie, to kojarzył je sobie nie z czym innym jak z kołowrotkiem i łąkami nad rzeczką Przerwą, nad którą niegdyś mieszkaliśmy, pokrytymi całunami lnianego samodziału, bielonego i dojrzewającego w słońcu. Co tu zresztą gadać. I ja myślałem kiedyś identycznie.

Pewnego razu, gdy rodzic mój przyjechał do mnie do Łodzi, do świeżo upieczonego studenta Wydziału Włókienniczego Politechniki Łódzkiej i pokazałem mu czerwone mury budynku przędzalni średnioprzędnej, w której pracowałem, określił on całość jako „krajobraz industrialny". Bardzo mi to ojcowe określenie przypadło do gustu i nadal często używam je w dyskusjach o Łodzi.

Ojciec zapytał mnie kiedyś: — *Jesteś włókiennikiem. Powiedz mi z czego robi się ten nylon na pończochy?*

Odpowiedziałem: — *nylon powstaje przez kopolimeryzację kwasów adypinowych z sześciometylodwuaminą.*

Spojrzałem na ojca, oczekując aprobaty, ale on powiedział tylko:

— *Aha, już wiem.*

Do dziś mam wyrzuty sumienia z tego powodu.

Zbliżałem się do portierni. W parterowym budynku na froncie gmachu przędzalni ujrzałem przez okno pokoju, w którym pracowałem, sylwetkę szefa — Stolarskiego. Takiego szefa los daje tylko raz. I to nie wszystkim. Drobnej postury, zawsze uśmiechnięty i zawsze pierwszy w pracy, mieszkał niedaleko w zakładowym budynku przy ul. Tylnej. Technik-samouk, praktyk w każdym calu. Zrównoważony, nie unoszący się nawet wtedy, gdy były ku temu powody. Starał się zawsze rozmawiać z pracownikiem tak, ażeby on sam podjął taką a nie inną decyzję. Tacy jak on, średni personel techniczny, zadecydowali o potędze technicznej światowych mocarstw technologicznych. Wprowadził mnie w arkana sztuki zawodowej z cierpliwością godną lepszej sprawy.

W pokoju, gdy wszedłem, Stolarski dyskutował z mistrzem Fonkiem.

— *Panie Workiewicz* — przywitał mnie szef. — *Na nocnej zmianie stanęło kilkanaście zgrzeblarek. Sprawdź pan z Fonkiem te pędnie i działaj.*

— *Panie technik, nic poważnego, gallus nawalił* — powiedział Fonek, gdy wyszliśmy.

„Co za gallus?" — pomyślałem. Zacząłem szukać w pamięci nazw części maszyn. Dziesiątki ich przewinęły mi się w pamięci, ale gallusa wśród nich nie było. Strach mnie ogarniał na myśl o grożącej kompromitacji. *„Co to jest gallus?"* — myślałem rozpaczliwie.

Szliśmy w kierunku głównego budynku. Fonek, starszy ode mnie o 25 lat, kroczył swym platfusowatym chodem z nieodłączną suwmiarką w dłoni.

— *Panie Fonek* — zapytałem — *a czy w magazynie zużytych części nie podebralibyśmy czegoś odpowiedniego?*

— *A wie pan, niezła myśl. Ma pan klucze przy sobie.*

— *Mam.*

Wsiedliśmy w windę, która zawiozła nas do magazynu. Pierwszy szedł Fonek, a za nim ja, asekurując się z góry słabym rzekomo wzrokiem i kurzą ślepotą. W magazynie panował półmrok. Różne części z przeróżnych maszyn zalegały półki, podłogę i zakamarki. Fonek z okularami na nosie błądził w górach żelastwa, a ja sunąłem za nim. Nagle Fonek pochylił się, chwycił potężny kawał metalu i krzyknął: *mam!* Spojrzałem na to, co trzymał w garści. Oniemiałem. Ale fason musiałem podtrzymać.

— *Podejdź pan z tym do okna* — rzekłem.

Gdy to uczynił, stwierdziłem, że trzyma w ręku zwykły naprężacz pasa, stosowany nagminnie w napędach pasowych. Już byłem w domu! Zacząłem nawet wymądrzać się na temat możliwości dopasowania go do potrzeb pędni na sali zgrzeblarek.

Lubię atmosferę przędzalni bawełny. Ciepło, wilgoć, zapach kurzu bawełnianego zmieszanego z zapachem oleju, cichy szelest wrzecion, a na zgrzeblarkach drgania zbieraczy runa. I te gary pełne miękkiego, białego jak puch, włókna. Ale nade wszystko ten zapach niepowtarzalny, jedyny.

Szedłem za mistrzem Fonkiem, niosąc ten mój pechowy gallus — niemalże przyczynę mojej klęski i kompromitacji zawodowej. Przynieśliśmy go na miejsce, do zgrzeblarni przymierzyliśmy. Wymagał rozwiercenia otworu, aby go można było założyć w wymaganym miejscu.

Po powrocie do biura nakreśliłem naprężacz na kulmanie i pomyślałem o etymologii wyrazu „gallus". I — eureka! — doszedłem do tego. Naprężacz tego typu przypomina swą budową — koguta! A gallus — z łaciny, to przecież — kogut. Anatomia prawie identyczna. Zamocowanie wahliwe naprężacza to — nogi koguta, luźne kółko pasowe — to głowa, zaś przeciwwaga z ciężarkiem — to pióropusz ogona.

Sporo już czasu minęło od tamtego wydarzenia. Dziś nie przechodzę torów tramwajowych na ul. Kilińskiego. Pracuję w innej części miasta. Ale ilekroć przechodzę pod otwartymi oknami, czuję ten niepowtarzalny zapach i wracam wspomnieniem do koguta mistrza Fonka, który o mało co nie doprowadził mnie do kompromitacji.

STANISŁAW WORKIEWICZ

Reportaż wyróżniony w konkursie o „Czołenko tkackie" — 1979.

NIE MA PSÓW, NIE BIJĄ DZWONY

Dalszy ciąg ze str. 1

Za cerkiewką zaczynał się park Gradska Gradina. Alejkami pomiędzy bujną, zieloną roślinnością ciągnęły w stronę Gradskiej Plaży nieliczne jeszcze grupki zagranicznych letników. Ci, co rozebrani leżeli już na piasku, mieli bezwstydnie blade ciała, a bułgarscy ratownicy byli już trochę opaleni i wyciągnęli właśnie ze wzburzonych wód zatoczki na brzeg topielicę. Lekarz, sanitariusz, sztuczne oddychanie, wreszcie nosze i nikły, zażenowany uśmiech na policzkach ofiary.

— *Żyje!* — ucieszyli się plażowicze.

— *Tak, tak! Żyje.*

Na maszt wciągnięto czarną flagę, ale była wspaniała pogoda; kto chciał, moczył nogi do kolan albo twarzą do słońca ciułał gorące promienie. Inni obserwowali z zachwytem długi, wysoki, najeżony skałami brzeg starego Sozopola, o który z trzaskiem rozbijały się spienione fale. Ponad nimi, aż do krańców cypla, ciągnęła się Iztocna Aleja, szeroki, kamienny bulwar, którego fragmenty pamiętają ponoć czasy cezarów. Widać tam było ławki i kolorowe klosze lampionów, które zapalają się dopiero o zmierzchu, wydobywając z sędziwych lub upozowanych na sędziwe domków dodatkową dozę uroku. Widać także było maleńkie, murowane fontanny, które są nie tyle ku ozdobie, co żeby się nad nimi pochylić i przystawić spragnione usta do strumyka świeżej, źródlanej wody.

Ktoś mówił:

— *Na Zachodzie, w najpiękniejszych i najdroższych miejscowościach, nigdzie nie znajdziesz ławki ani zdroju ulicznego. O tym, żebyś usiadł i odpoczął albo napił się gdzieś za darmo nie masz co marzyć. Pchają cię w ten sposób do lokalów, wejdź, zostaw pieniądze! Tak, tak! Wszystko obliczone na zarobek.*

— *Może i racja* — zgodził się inny człowiek. — *Wschód jest bardziej humanitarny. Chociaż w tej knajpie tutaj, przy porcie, kelnerzy łupią w sposób straszliwy.*

— *A gdzie nie łupią!* — zdenerwował się ten pierwszy. — *Ja nie mówię zresztą o kelnerach tylko o zasadzie.*

— *Turyści, panowie, szczególnie ci dewizowi, potrafią zdeprawować najporządniejszą miejscowość* — włączył się do dyskusji szpakowaty pan. — *Zobaczycie, co tu będzie za tydzień.*

No więc minął ten tydzień. Druga niedziela czerwca. Pod murami na placyku obok zabitej deskami cerkiewki grono starców kontemplowało niezmiennie słoneczny poranek; był Turek w wysokiej karakułowej czapce i Cygan w wyleniałej baranicy, byli Grecy o pomarszczonych, dobrodusznych twarzach i Bułgarzy wspierający ręce o drewniane zakola lasek. W pobliskiej, stylowej kawiarni rybacy zaprawiali się od rana grozdową rakiją, a turyści, których znacznie przybyło, pili „Słoneczny Brzeg" ze Schweppesem, który tutaj robi się na licencji.

Od czasu do czasu dało się usłyszeć język niemiecki, znacznie rzadziej czeski i rosyjski, polski natomiast konkurował o lepsze z bułgarskim i słychać go było wszędzie.

Nasza para stała przed słupem zalepionym gęsto klepsydrami i on mówił, patrząc na powielone fotografie zmarłych:

— *Strasznie dużo tu nekrologów, na drzwiach domów, na ścianach i płotach, a w wielu oknach widać ogromne, czarne kokardy. Chyba ciągle ktoś tutaj umiera, młodzi, starzy, kobiety i mężczyźni, nawet dzieci...*

— *Ojej!* — parsknęła kobieta, której twarz, blada przed tygodniem, miała teraz kolor szlachetnej miedzi. — *Czy ty naprawdę musisz bez przerwy pleść głupstwa? Czy nie widzisz, że są to stare nekrologi, sprzed trzech-czterech lat?*

— *O!* — mężczyzna wyciągnął rękę. — *Ten jest nowy, i tamten jest nowy.*

— *Aha, nowe* — potwierdziła skwapliwie kobieta. — *Ale przeczytaj je uważnie. W CZWARTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI GRAŻDANKI IWANOWEJ... W SZÓSTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI KIRYŁA STANCZEWA.*

Mężczyzna, którego blada niegdyś twarz, przybrała w ciągu ostatniego tygodnia barwę szlachetnego brązu, pociemniał o dalszy ton. Pomyślał: ona ma rację, ciągle ma rację. I nagle ucieszył się, że w Sozopolu ludzie umierają wcale nie tak często jakby mogło się zdawać, i że krewni tak bardzo dbają o ich pamięć.

— *Dobre miasto* — powiedział. — — *Fajne, ciche, serdeczne miasto.*

Przyzwyczaił się już widocznie do czajek, które co chwila wybuchały wrzaskiem i do letników, którzy śpiewali po nocach pijackie piosenki. Przyzwyczaił się do kelnerów w portowej restauracji, dopisujących do rachunku wiek swoich ojców i dziadów w stotinkach oraz do Niemców, którzy wszędzie zachowują się tak głośno, w kawiarniach, w sklepach, na plaży, która...

...W tydzień później, kiedy nadeszła trzecia niedziela czerwcowa, wypełniona już była tak szczelnie jak mury i ławki na placu obok zabitej deskami cerkiewki. Siedział Turek obok Cygana, siedzieli ramię w ramię Grecy z Bułgarami, wszyscy, rzecz jasna, w swoich swetrach i kapotach, a na plaży tłum prażył się w słońcu, pracując wytrwale na końcowy efekt.

Ktoś mówił:

— *Widzicie tę młodą Polkę z dzieckiem? Ktoś by pomyślał: idiotka! Wlec się taki kawał ze szkrabem, który ledwo co ukończył rok i dopiero zaczął chodzić. Hej, Łukasz, Łukasz!* — wyciągnął do malca ramiona, a ten, drobiąc nieporadne kroczki i przewracając się raz po raz w piach obdarzył go przecież promiennym uśmiechem. — *Otóż, szanowni państwo, dziewczyna ma głowę na karku. W kraju wszyscy martwili się, co ten mały będzie jadł, a ona na to: przecież w takim mieście musi być jakieś przedszkole i żłobek, załatwię mu obiady. I poszła do żłobka, który jest tam, na końcu cypla przy brzegu. Wychowawczyni do niej: my nie możemy, kochana, nie mamy uprawnień, ale niedaleko stąd, obok przychodni, prowadzą „dziecką" kuchnię. Więc udała się do „dzieckiej" kuchni no i bierze stamtąd codziennie dla małego obiady z trzech dań po trzydzieści-czterdzieści stotinek — zupka, mięsko, kisielek...*

— *Co pan powie?* — zainteresowała się jakaś matka. A ja gotuję dla mojej Kasi w pokoju, gospodyni się wścieka, bo to przecież prąd, swąd, chlapanina... Muszę zaraz spytać się tej pani, gdzie można te obiady wykupić.

— *Swoją drogą, w Polsce też przydałyby się takie kuchnie.*

— *Pewnie, że tak. Ulżyłoby kobietom. Trzeba przyznać, dba się tutaj, w Bułgarii o dzieciaki, które zresztą są ładne, miłe, wesołe.*

— *A Bułgarki też wyprzystojniały. Nie są już takie tęgie jak dziesięć, piętnaście lat temu.*

— *Ho, ho, co ja widzę* — powiedziała kąśliwie kobieta, której twarz, mająca przed tygodniem barwę szlachetnej miedzi, była teraz o wiele ciemniejsza. — *Nie wiedziałam, że jestem takim wnikliwym obserwatorem...*

Zwinęła plażowy ręcznik, włożyła sukienkę i ruszyła w stronę portowej restauracji, a on, wciągając w biegu koszulę na opalone plecy, gonił ją skrajem wydmy.

Potem poczekali kilka minut na stolik i zjedli obiad w towarzystwie dwóch innych Polaków, z których ten starszy, szpakowaty, trochę narzekał.

— *Coraz większy tłok, coraz więcej turystów, coraz trudniej o miejsce w kawiarni i na plaży. A zobaczycie, państwo, co tu będzie za tydzień...!*

Przyszła wreszcie czwarta niedziela czerwca. Turek, Cygan, Grecy i Bułgarzy siedzieli na swoich ławach. Przybyło trochę nekrologów. Płakali wszyscy mieszkańcy niewielkiej uliczki Amfora, ponieważ zginął tragicznie młody człowiek. Na plaży nie było już w ogóle wolnych miejsc i obcy ludzie leżeli przytuleni do siebie bokami. Oprócz polskiego, niemieckiego, czeskiego i rosyjskiego słyszało się tu i ówdzie język węgierski, angielski i francuski. Ratownicy pracowali sumiennie i chociaż wyciągali od przypadku do przypadku jakieś ciało, ofiar śmiertelnych nie było, może dlatego, że oprócz lornetek z brzegu, cały czas patrolowały zatokę łodzie ratunkowe.

W sklepach, a nawet przed sklepami stały długie kolejki. W cieniu drzewa na ławce siedział czterdziestoparoletni człowiek o pokrytej strupami twarzy. Dosiadł się do niego inny mężczyzna i zapytał po polsku:

— *Rodzinka na plaży?*

— *Tak.*

— *A pan? Czemu pan się nie opala?*

— *Bo wie pan, wyjechaliśmy z Polski samochodem dwa tygodnie temu, a ja byłem kierowcą i kiedy po paru dniach dotarliśmy wreszcie w południe do Sozopola, cała rodzina od razu do mnie: na plażę, tata! na plażę! Oni się opalali i kąpali, a ja byłem tak straszliwie zmęczony, że zasnąłem i spałem tak rozebrany na słońcu pięć czy sześć godzin bez przerwy, no i niech pan zobaczy* — rozpiął ostrożnie koszulę, a ten, co słuchał, aż jęknął ze zgrozy. — *Żywe rany do samej kości.*

Nasza para wracała akurat z plaży i opalony mężczyzna, zagłębiając się w cień wąskich uliczek, wskazał nagle opalonej kobiecie dach jednego z drewnianych domków:

— *A widzisz, nie mówiłem ci? Nie chciałaś wierzyć! Czajki łażą po dachu razem z perliczkami i nie robią im żadnej krzywdy.*

Kobieta spojrzała we wskazanym kierunku i nagle zaniosła się głośnym śmiechem.

— *Ojej! Ale ty jesteś głupi! Przecież to nie są perliczki. To są młode, które mają trochę inne, cętkowane upierzenie i uczą się dopiero fruwać.*

Mężczyzna podrapał się zafrasowany w głowę i szedł jakiś czas w milczeniu. Ano, trudno — pomyślał. — Nie można znać się na wszystkim. Jak przyjadę jeszcze raz do Bułgarii, będę mądrzejszy. Wiem już przecież sporo o tych rybkach, no, safrikach i o tym małym czarnomorskim rekinie akule, który pokrojony w paski i wysuszony na słońcu jest ponoć nadzwyczajnym przysmakiem. Wiem jak się je te ich małe, różowawe krabiki, chociaż sam za nic nie wziąłbym tego świństwa do ust., Wiem także, jako inżynier budowlany, że Sozopol został wzniesiony przez mądrych ludzi, że niemal z każdego budynku widać morze, że te domki nad brzegiem nie stykają się nigdy bokami, dzięki czemu potworzyły się między nimi coś jak gdyby wąziutkie uliczki i tylko trzy strojne, okazałe wille na samym końcu cypla złamały tę zasadę, łącząc się w walce o metraż w lity blok mieszkalny, w wyniku czego przechodnie oraz sąsiedzi z przeciwległych domów nie mogą podziwiać skalistego brzegu. No, ale trudno... Są pewno bardzo ważni i bogaci, a takim to wolno łamać wszelkie architektoniczne zasady. Przecież te wille po prostu nie pasują...!

— *Piękny mieliśmy urlop* — powiedział na głos.

— *Aha* — zgodziła się kobieta. — *Piękny. Tylko raz padało.*

— *I od razu wyschło. A wiesz dlaczego? Bo wszędzie zamiast asfaltu czy betonu jest kostka! Woda po prostu ma gdzie wsiąkać* — westchnął. — *Szkoda, że za tydzień musimy wracać.*

— *Ojej, ale z ciebie nudziarz! Masz przed sobą siedem pięknych słonecznych dni.*

— *Tak, tak! To jeszcze dużo czasu.*

Ale minął ten czas. Nadeszła piąta czerwcowa niedziela, nie, kłamstwo! to już była pierwsza niedziela lipca. Starcy siedzieli pod murami w samych koszulach, Cygan ściągnął wyleniałą baranicę, Turek za to nie ściągnął karakułowej czapki. Wraz z szeroką rwącą rzeką zagranicznych turystów parły tego dnia na plażę setki Bułgarów i Bułgarek z dziećmi. Zajęte były nie tylko łachy piachu lecz również kamienne i skaliste cząstki wybrzeża. Młode czajki potrafiły wzbić się już kilka metrów w powietrze, a wrzask starych nie był już tak natarczywy.

Nasza para objuczona walizkami, podążała na dworzec autobusowy, przystając co kilka kroków. Oboje byli już tak bardzo opaleni, że ona przypominała Mulatkę a on Murzyna. Kiedy dotarli wreszcie na stację, z której mieli odjechać do Burgas. a tam złapać samolot do Warszawy, mężczyzna rozprostował ramiona i powiedział:

— *Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że przez cały miesiąc nie widziałem tu ani jednego psa.*

— *Wiesz, masz rację* — przytaknęła z zadumą kobieta. — *Ja też nie widziałam ani jednego.*

— *I kotów też jest bardzo mało* — mówił ucieszony mężczyzna.

— *Tak. Bardzo mało.*

— *I nie biją cerkiewne dzwony.*

— *Być może cerkwie nie mają tego obyczaju.*

— *Aha, może nie mają* — przytaknął mężczyzna, coraz bardziej zadowolony z siebie. Nagle zerknął na zegarek i krzyknął: — *Patrz, osiemnaście po dziesiątej! Autobus spóźnia się już trzy minuty.*

— *Ojej!* — sapnęła gniewnie kobieta. — *Ale ty jesteś marudny. Naprawdę, przestałbyś w końcu marudzić! Weź się trochę w garść, człowieku, bo nie wytrzymam.*

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Foto: L. Włodkowski

GEORGES SIMENON I JEGO KOMISARZ

Książki Georgesa Simenona wydano w stu językach. Tak szeroką popularność wśród czytelników różnych krajów i pokoleń zawdzięcza bynajmniej nie atrakcyjnemu rodzajowi powieści detektywistycznej, którą uprawia z taką znajomością rzeczy. Uwagę na „małego człowieczka" zwróciła umiejętność dostrzegania i wykrywania socjalnych dźwigni naruszania prawa, protest przeciwko brutalności kapitalistycznego społeczeństwa.

Oto co mówi Georges Simenon o sobie i swojej twórczości w wywiadzie udzielonym redakcji „Les Nouvelles Litteraires".

Lozanna. Różowy domek z XVIII wieku, przestronny pokój, niemal całkowicie pozbawiony mebli. Weranda z widokiem na jezioro. Tutaj obchodził niedawno swoje 75 urodziny Georges Simenon, autor-rekordzista, który opublikował blisko 200 powieści...

— Dwieście siedemnaście — poprawia mnie pisarz.

— A ile poświęcił pan komisarzowi Maigret?

— Osiemdziesiąt dwie.

— A zatem napisał pan o wiele więcej książek niedetektywistycznych?

— Sto trzydzieści cztery, jeśli mam być dokładny. Trzeba do nich dodać tomy mojego Pamiętnika. Według stanu na dzień dzisiejszy przedyktowałem już tom siedemnasty...

— Podobno używał pan siedemnastu pseudonimów.

— Tak, ta liczba jest ścisła.

— Musiał pan mieć aż tyle pseudonimów?

— Po prostu był czas kiedy wychodziło spod mego pióra po siedem opowiadań dziennie. Żeby je szybciej drukowali musiałem się uciec do pseudonimów. Niektóre numery „Frou-frou" składały się w owym czasie wyłącznie z moich opowiadań. Tak właśnie pojawił się Ferency piszący osiem „kawałków" w ciągu miesiąca, później Taloudie — należało do niego pięć, czy sześć opowiadań. Był jeszcze Jean Duperie, Georges Marten, Georges Sim, Aramis, Pic i Ploc i już nie przypominam sobie, kto jeszcze i, oczywiście, Georges Simenon.

— W Pamiętniku wyjątkowo skromnie ocenia pan własną twórczość. „W przyszłości — pisze pan — moja twórczość, sądzę, będzie miała o wiele mniejsze znaczenie niż się przypuszcza." I dodał pan: „Mówię to całkiem poważnie".

— Ale ja rzeczywiście nie mam najmniejszego pojęcia, jak mnie ocenią w przyszłości. Widzi pan, pisarze po śmierci trafiają do bardzo osobliwego czyśćca. Na imię mu — sława, rozgłos, ale nie wiadomo kto i kiedy z niego wyjdzie. Stendhal, na przykład tkwił w tym czyśćcu pięćdziesiąt lat. Inni pisarze pozostaną w nim wiecznie. Tylko czas może ocenić rangę pisarza, artysty, kompozytora.

— „Chciałbym pójść jeszcze dalej w moim poznaniu człowieka". Czy nie kryje się za tą skromnością ubolewanie, które wyczuwam w tym zdaniu zaczerpniętym z pańskiego Pamiętnika?

— Jedną moją książkę zatytułowałem: „Człowiek jak wszyscy inni". Zawsze taki byłem i staram się takim pozostać. Ale taki człowiek — powie pan — nie może dogłębnie poznać innych, ponieważ jest do nich za bardzo podobny. Jako pisarz, już w pierwszych powieściach o Maigrecie, postawiłem przed sobą cel: zrozumieć, a nie osądzać. Cel ten osiągałem w miarę moich możliwości. Jednak w 70 roku życia postanowiłem nie pisać więcej powieści. Zbyt długo żyłem w cudzej skórze.

— Czyżby od tego czasu ani jedna idea nie rozpaliła pańskiej wyobraźni?

— Nie, mimo wszystko nie! Nawet nigdy nie czytam moich książek.

— Dlaczego?

— Jestem przekonany, że wówczas napisałbym je od nowa. Wiem na pewno, że teraz nie dałyby mi satysfakcji. Chociaż już od osiemnastu lat dążę do jak najlepszego stylu i najbardziej klarownej składni. Przeczytałem gdzieś wynik badań statystycznych o ilości słów, którą posługuje się każda warstwa społeczna. Byłem wstrząśnięty, że ponad połowa Francuzów używa zaledwie sześciuset słów! Więc, pomyślałem sobie, po co używać abstrakcyjnych pojęć? Przecież nigdy nie przyjmą ich jednakowo różni czytelnicy. Oto dlaczego zawsze używałem „zasadniczych" słów: stół, krzesło, wiatr, deszcz. Pisałem: „pada deszcz". Nigdy w moich książkach krople deszczu nie przekształcały się w „perły", czy w coś podobnego.

— Teraz pan tylko dyktuje.

— I tak jest lepiej. Pierwsze powieści pisałem odręcznie, a poprawiałem je na maszynie. Ale z czasem doszedłem do wniosku, że rękopis zmusza do szukania pięknych zdań. Przy przepisywaniu więc upraszczałem i upraszczałem, co jest bardzo trudne, bo cały czas powracałem do napisanego tekstu. Później od razu już zasiadałem do maszyny. Jednak dyktowanie jest o wiele bardziej praktyczne — nawrót do tekstu jest niemożliwy. Dyktowanie pozwala zachować całą prostotę mowy potocznej.

— Jaki cel pragnie pan osiągnąć używając monologów?

— Przez całe moje pisarskie życie pragnąłem zrozumieć innych ludzi. Teraz próbuję poznać samego siebie. Jednym słowem — żyję wreszcie we własnej skórze.

— To znaczy, że w pańskich powieściach spotykaliśmy się właśnie z panem?

— Absolutnie nie. Być może obdarzyłem komisarza Maigreta moimi niektórymi poglądami, ale on — to nie ja. Taka lub inna postać krystalizowała się we mnie stopniowo, w konfrontacji ze mną, aż pewnego pięknego dnia odczuwałem, że mogę się całkowicie przeistoczyć w bohatera, zrozumieć i opisać go tak, żeby był sobą. Wtedy zasiadałem za biurkiem i pisałem, nie wiedząc nawet czym może się zakończyć ta cała historia i nie wplatając do niej mego osobistego życia.

— Mieszkał pan w Belgii, Francji, Afryce, w USA, już długi czas przebywa pan w Szwajcarii, jednakże dostrzeżone tam imponderabilia są w pańskich powieściach bardzo skromnie zarysowane. Nigdy pan nie korzysta ze swoich obserwacji?

— Unikałem robienia notatek podczas podróży i nigdy nie podróżowałem gwoli szukania wrażeń, jak to czyni wielu pisarzy. Chociaż nie, postąpiłem tak któregoś razu, żeby napisać pewną powieść. Mój bohater leżał w szpitalu i musiałem dokładnie wiedzieć, o której godzinie uderzają w dzwony w sąsiednim kościele i kiedy wywożą śmieci ze szpitala. Pojechałem do Paryża i dokładnie wypytałem o to siostrę przełożoną. Ale to był wyjątek. Nie jestem Proustem, który, jak opowiadają, pobiegł o godzinie drugiej w nocy do hotelu „Ritza", żeby zobaczyć, jaką to też suknię ma na sobie pewna hrabina. Sądzę, że właśnie z powodu braku „dekoracji" w moich książkach czyta się je z taką łatwością w krajach, które nie mają z sobą nic wspólnego: w Japonii, Arabii Saudyjskiej, USA i w Związku Radzieckim. Uważam, że wszyscy ludzie są do siebie podobni — doznają podobnych wrażeń, podobnie odczuwają. Ale żeby to zrozumieć trzeba odejść od zewnętrznych odrębności. Dwukrotnie przemierzyłem cały świat i nigdzie nie czułem się obco. I te właśnie cechy, wspólne wszystkim ludziom próbowałem opisać.

— Przy tym wszystkim zawsze pan mówił o „maleńkim człowieczku", a nawet nazwał pan tak jedną ze swoich powieści...

— Wie pan, ja nie wierzę w wielkich ludzi, w geniuszy. W porównaniu z przyrodą człowiek jest maleńki. Ale mały czy wielki — to zależy od niego i od określonych okoliczności, w jakich się znalazł w życiu.

— A komisarz Maigret?

— Człowiek jak wszyscy inni. Wie pan, na świecie stworzono 58 filmów o Maigrecie, z tego 20 telewizyjnych. I każdemu krajowi jest bliski jego własny Maigret. To dlatego, tak mi się przynajmniej wydaje, że każdy widzi w nim typ człowieka, jakiego chciałby mieć za przyjaciela. Jest zwyczajny i otwarty, jak to się mówi — aż do szpiku kości, otoczony takimi samymi prostymi ludźmi.

— I opisany niezwykle prosto. Jak pan doszedł do takiego stylu?

— W latach dwudziestych przyjechałem do Paryża, byłem nieśmiały, nie obracałem się w świecie literackim, w ogóle stałem jakoś na uboczu, uchylałem się nawet od zaproszeń na koktajle. W owym czasie byłem jeszcze mocno zaniepokojony moim stylem. Pomogła mi Colette. Pisarka była wtedy redaktorem literackim w gazecie „Le Matin". Przyniosłem jej kilka opowiadań. Odrzuciła je mówiąc: „Zbyt literacko, mój drogi Simenon! Zbyt literacko!" Po ośmiu dniach przyniosłem jeszcze dwa opowiadania i usłyszałem: „Znów zbyt literacko! Błagam pana — żadnej literatury!" Dziwne było usłyszeć to od Colette, która sama nawlekała zdania jak perły. Za trzecim razem była zadowolona. Nasza współpraca trwała kilka lat.

— Z pewnością pomogło panu w tym dziennikarstwo.

— To prawda. Dziennikarstwo wiele mnie nauczyło. Pracę zacząłem w gazecie w Liege mając 16 lat. Pisałem kronikę. Dużo później udzielali mi wywiadów: Churchill, Poincare, Lloyd George.

— Dyktując wspomnienia nie skazał się pan na swego rodzaju wygnanie?

— Nie. Coś panu wyznam: Pamiętniki są mi najbliższe dlatego, że stworzyłem je wcześniej. Nikt w nie nie wierzył, nawet mój wydawca. Zacząłem je drukować tylko dlatego, że wydawał wszystko, co tylko mu przyniosłem. Ale teraz otrzymuję o wiele więcej listów od czytelników mego Pamiętnika, niż od czytelników moich powieści...

— A w jakim „stanie ducha" jest pan teraz?

— W dobrym. Nie zawsze udzielałem takiej odpowiedzi. Być może, więcej już tak nie odpowiem. Mając 75 lat człowiek, jak sądzę, wstępuje w „czwarty wiek". Zresztą zawsze byłem optymistą. Teraz często nucę piosenki z czasów mojej młodości spędzonej w Liege. Nieoczekiwanie wyłaniają mi się z pamięci podczas samotnych spacerów nad jeziorem. Tak, spokój. Człowiek osiąga go niepostrzeżenie. Na mnie spłynął on chyba dwanaście lat temu. Ale, wie pan, ja wcale nie czuję żebym był stary. Doświadczony — tak, ale nie stary.

Przełożył:
JERZY CZECH

Z PRASY

Rekin jest tym charakterystycznym morskim stworzeniem, którego zachowanie najtrudniej przewidzieć. Może z flegmą przepłynąć obok stu ludzi kąpiących się w morzu i bez żadnego widocznego powodu zaatakować dziecko spokojnie stojące przy samym brzegu, po kolana w wodzie. Statystyka świadczy, że szans na napad rekina jest równie mało, jak szans na porażenie piorunem podczas burzy. Ale ten dowód działa uspokajająco tylko w tych wypadkach, kiedy „pływa się" we własnej wannie. Trudno się dziwić, że człowiek boi się panicznie pożarcia żywcem przez tego morskiego drapieżnika. Dlatego potworom morskim, które zamieszkują wody Zatoki Perskiej poświęca się tak wiele uwagi. Uważano dotąd, że ich najbardziej ulubionym „kąskiem" są wieloryby, które od czasu do czasu zaglądają w te strony.

Jeszcze nie tak dawno obowiązek wykrywania obecności rekinów i odganiania ich od poławiaczy pereł u brzegów Zatoki Perskiej spoczywał na niewolnikach — Murzynach. Gdy w pobliżu miejsca połowu pereł pojawiały się rekiny, dozorcy, mieszając wodę nogami, ściągali ich uwagę na siebie. Znając szybkość reakcji tych drapieżników, człowiek musiał być w takich chwilach nie tylko wyjątkowo zręczny, lecz także niezwykle uważny.

Obecnie sposoby ochrony pływających i nurków przed rekinami nie są już tak egzotyczne. Jedną ze współczesnych metod walki z tymi drapieżnikami, która stała się już niemal uniwersalna, wypróbowano na południu kontynentu afrykańskiego, gdzie rozciągają się piaszczyste plaże ściągające każdego roku ponad milion miłośników kąpieli i nurkowania. Kilka lat temu, w tych miejscach zarejestrowano kilkadziesiąt śmiertelnych wypadków pożarcia ludzi. W związku z tym powołano specjalną radę w celu opracowania sposobów walki z tymi drapieżnikami. Na propozycję rady skonstruowano specjalną sieć, którą odgrodzono plażę i część wód przybrzeżnych. Dziś tysiące takich sieci otacza południowoafrykańskie plaże. Od tego czasu, w tym rejonie, całkowicie ustały wypadki napadu morskich zabójców na ludzi. Z drugiej strony taki system ochronny pozwolił uczonym — ichtiologom na prowadzenie badań nad zachowaniem rekinów. Co roku trafia do sieci około 1.500 rekinów, ale wiara ludzi w bezpieczeństwo na plażach jest tak wielka, że rekinów zaplątanych w sieci nie zabija się, lecz wypuszcza na wolność. Niektóre egzemplarze drapieżników umieszcza się w specjalnych basenach dla celów badawczych, ale utrzymanie ich przy życiu w takich warunkach jest zadaniem niezmiernie trudnym. Żeby utrzymać się na wodzie rekin musi wykonywać nieustanne ruchy, w przeciwnym razie opada na dno i ginie z uduszenia. W basenie znajduje się trener rekinów, który zmusza rekina do pływania wokół basenu podtrzymując go rękami i nie pozwalając mu zatonąć. Proces ten, zwany „ujeżdżaniem", trwa od 8 do 10 godzin, podczas których człowiek i rekin pływają wokół ścian basenu dopóty, dopóki rekin „zrozumie", jak ma się przyzwyczaić do niewoli.

Na pytanie, dlaczego rekin napada na człowieka, nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Głównym motywem napadu są strach lub głód, ale rekina może znęcić także błysk pierścionka, kolor kostiumu kąpielowego, zapach krwi od skaleczenia, a także gwałtowne ruchy człowieka, wzbudzające drgania dźwiękowe określonej częstotliwości.

„Keihan" — Teheran

GROŹBA „LE VIN"

Zawsze byłem przekonany, że we Francji dużo się wprawdzie pije, ale pijanych to nie ma tam zupełnie. Tymczasem podczas miesięcznego pobytu w tym kraju obserwowałem sceny, które wyraźnie tym obiegowym poglądom przeczą. Pamiętam most przez Loarę pod Tours i plażę nadrzeczną przy tym moście. Wciąż jeszcze widzę, jak po piaszczystym brzegu Loary człapią osobnicy sprawiający wrażenie widm nie z tego świata. Zaczerwienione oczy, pożłobione i napuchnięte twarze, rozwiane włosy i ponury, martwy wzrok wbity w ziemię.

Ci ludzie węszyli i nluchali. Może ktoś zostawił na piasku paczkę papierosów? Może portmonetka się trafi? Nigdzie nie widziałem tak wielu alkoholików w ostatnim już chyba stadium upadku, jak właśnie w Tours nad Loarą. W ogóle jak ktoś nieco uważniej zacznie się rozglądać po pięknej francuskiej ziemi, zauważy bez trudu, że rumianość policzków tylu mężczyzn nie jest przejawem bujnego zdrowia, lecz następstwem solidnego „podgrzania się" czerwonym winem.

We Francji pociąga się z butelki w metro, w autobusie i w przedziale kolejowym. Wszędzie płucze się gardło „czerwoniakiem" od wczesnego ranka do późnego wieczora. Oczywiście, jedni łakną od razu całej flaszki taniego jak barszcz „sumacka", inni robią to dobrze odmierzonymi, jak w menzurce, dawkami. Ale popijają niemal wszyscy. Mam oczywiście na myśli dorosłych, a wśród dorosłych przede wszystkim mężczyzn. To „dawkowanie" alkoholu sprawia, że większość pijących dziwnie jest czasem podochocona, rozbawiona i wesoła, choć granicy „zalania się" nie przekracza.

Ale wino też robi swoje. Robi swoje, choć Francuzi zaręczają, że „le vin", więc nie żaden alkohol.

Lekarze wiedzą jednak lepiej. Przeczytałem niedawno w „Le Monde" ogromiasty artykuł o społecznej pladze, jaką zaczyna być we Francji „L'alcoolisme". Zapowiada się podjęcie kroków, które mają falę alkoholizmu powstrzymać. Mówi się o wielkim programie na lata 1979—89, który zyskał parafę samego prezydenta. W każdym razie we Francji dostrzeżono plagę, która nabiera z wolna charakteru narodowej klęski.

Kiedy się czyta „Le Monde", odnieść można wrażenie, że w dzwony uderzono w samą porę, jeśli nie uderzono za późno. Według niedawno opublikowanych danych, w zeszłym roku przeciętny, zatem statystyczny Francuz, wypił szesnaście litrów czystego alkoholu, inaczej mówiąc — spirytusu. Oczywiście jest to kwestia przeliczeń. Jeśli pije się dziennie litr czerwonego wina ośmioprocentowej mocy, to jest tego trochę mniej niż „setka" właśnie czystego spirytusu. Jest to zatem prawie „ćwiartka" naszej wyborowej.

Prawie 40 proc. mężczyzn, którzy obecnie przebywają we francuskich szpitalach, to ludzie chorzy zmu. To Francuzi zajmują obecwskutek przewlekłego alkoholinie pierwsze miejsce w świecie w spożyciu alkoholu w przeliczeniu na głowę ludności. Piętnaście procent swych zarobków wydają na wina, wódki i koniaki.

Jak zahamować szerzący się alkoholizm?

Drogą najprostszą, najbardziej jednak prymitywną i najmniej — według francuskich lekarzy — skuteczną, jest podnoszenie cen na alkohole.

Niczego to nie załatwia, dowodzą, a skutki tego rodzaju decyzji są najbardziej tragiczne dla tych właśnie, których zamierza się rzekomo tym sposobem ratować. Alkoholik to alkoholik, to człowiek, który łaknie alkoholu jak powietrza i nic się na to nie poradzi. W sytuacji, gdy wina i wódki drożeją, alkoholik oszczędza na mięsie, maśle, chlebie i warzywach, słowem odżywia się gorzej niż przed podwyżką cen, byle tylko starczyło mu grosza na kolejną porcję wina. A wtedy organizm nie ma się już czym bronić przed alkoholem. Ulega mu szybko. To już wiadomy koniec.

Na łamach „Le Monde" wyrażono opinię, że kierowanie alkoholików do szpitali psychiatrycznych jest, delikatnie się wyrażając, nieporozumieniem. A do takich szpitali tych ludzi się wysyła. Bo w wyspecjalizowanych zakładach brak łóżek. We Francji przeważa dziś pogląd, że nie windowanie cen na alkohole, nie ograniczanie sprzedaży alkoholu, a szeroka informacja, mądrze przemyślana akcja wychowawcza, nade wszystko zaś prawidłowe leczenie alkoholików, to jedyna droga ujścia przed wiszącą nad krajem groźbą, która zwie się krótko — degeneracja narodu.

JAN BĄBIŃSKI

KRONIKA TYGODNIA

Podobnie jak w ub. tygodniu rozpoczynamy aktualia od kryzysów rządowych.

Przewidywania komu prezydent Włoch po dwóch nieudanych misjach powierzy utworzenie nowego gabinetu nie sprawdziły się. **Wybór padł na F. Pandolfiego** — polityka chadeckiego, który miał skonstruować rząd koalicyjny, złożony z chrześcijańskich demokratów, socjaldemokratów, liberałów i republikanów. Jako że koalicja ta nie dysponowałaby większością w parlamencie **liczono na wsparcie**, choćby bierne, **socjalistów**. Cel był już blisko, prasa włoska pisała o „rządzie zawieszenia broni", który przynajmniej na jakiś czas pozwoli zapewnić władzę. Tymczasem wówczas, gdy Pandolfi udał się na Kwirynał, aby przedstawić prezydentowi listę gabinetu, otrzymał wiadomość, że **partia socjalistyczna (PSI) postanowiła głosować przeciwko.** A więc znów fiasko... Kryzys, zapoczątkowany w styczniu trwa, w dwa miesiące po przedterminowych wyborach Włochy nadal nie mają rządu i, co więcej perspektywy rozwiązania problemu Bo trudno w obecnej sytuacji łączyć jakieś nadzieje z kolejnym desygnowanym na premiera politykiem hadeckim — F. Cossido, o czym właśnie w momencie stania komentarza do druku donoszą agencje.

W innym kraju, w Portugalii kryzys się wprawdzie zakończył, ale jego kadencja potrwa tylko 100 dni — do wyborów powszechnych, zapowiedzianych na jesień. **Na czele rządu stanęła po raz pierwszy w dziejach tego kraju kobieta — Maria de Lurdes Pintalsingo**, która zasiadała w gabinecie bezpośrednio w okresie porewolucyjnym, a przez szereg lat była przedstawicielem swego kraju w UNESCO.

Nowy rząd został zaprzysiężony w minionym tygodniu i natychmiast prawica przystąpiła do ostrego ataku. Jej celem jest „położenie kresu większości lewicowej w parlamencie i dokonanie rewizji konstytucji". Wspominamy o tym głównie dlatego, **że kampania wyborcza w Portugalii może mieć dość dramatyczny przebieg.** Dodajmy, że stanowisko prawicy zostało mocno skrytykowane przez prez. Eanesa: „niektórzy usiłują wykorzystać kolejne kryzysy polityczne jako pretekst do militaryzacji rządów".

Przywódca komunistów A. Cunhal oświadczył, że jego partia zawsze opowiadała się za rozwiązaniem kryzysu rządowego w sposób zgodny z konstytucją, dlatego ważne jest, aby nowy gabinet przystąpił do wykonywania swych obowiązków. A jednym z nich jest przygotowanie przedterminowych wyborów.

Dość już jednak o kryzysach rządowych — przejdźmy do tematyki rozbrojeniowej, tym bardziej, **że napłynęły dwie optymistyczne wiadomości.**

ZSRR, USA i W. Brytania przedłożyły Komitetowi Rozbrojeniowemu wspólne oświadczenie, stwierdzające, iż osiągnęły dalszy postęp w trójstronnych rokowaniach nad wspólnym projektem międzynarodowego układu o całkowitym i powszechnym zakazie doświadczeń z bronią jądrową. Temu komitetowi ZSRR i USA złożyły też informację o postępie w dwustronnych rokowaniach nad międzynarodową konwencją o zakazie badań, produkcji, przechowywania oraz o zniszczeniu nagromadzonych zapasów broni chemicznej. Warto odnotować, że oświadczenie w tej ostatniej sprawie jest zgodne w treści z założeniami polskiego dokumentu, na temat konwencji o zakazie broni chemicznej.

Korzystne ożywienie w rokowaniach rozbrojeniowych jest z pewnością spowodowane wiedeńskimi rozmowami L. Breżniewa i J. Cartera oraz układem SALT II.

Na tle omawianych spraw odnotujmy sprzed kilku dni interesujący artykuł „Prawdy". Dziennik pisze, **że obecnie dojrzały przesłanki do umocnienia zaufania między państwami i podjęcia nowych kroków w dziedzinie odprężenia militarnego.** Pożądany jest zawsze postęp w rokowaniach na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych trwa debata ratyfikacyjna nad radziecko-amerykańskim układem o ograniczeniu ofensywnych zbrojeń strategicznych. Z optymistycznymi prognozami wystąpił jeden z czołowych działaczy partii demokratycznej. Jego zdaniem jedynie 12 senatorów zgłasza sprzeciw, część zaś nadal jest niezdecydowana. Wyraził on pogląd, iż stosunek w obecnym stadium debaty może oznaczać ratyfikowanie układu większością znacznie przekraczającą wymaganych 67 głosów.

W. SŁAWSKI

KONIEC WAKACJI

ODCINEK I

WACŁAW BILIŃSKI

Rozpoczynamy druk wybranych przez redakcję fragmentów powieści Wacława Bilińskiego. W swej najnowszej książce wraca on do sierpnia 1939 roku, ukazując losy ludzi, nie zdających sobie jeszcze sprawy, że życie ich ulegnie gwałtownym zmianom i przewartościowaniom.

Akcja powieści rozgrywa się w Łodzi i jej pobliżu i jest zainspirowana przez autentyczne wydarzenia.

Jest początek trzeciej dekady sierpnia 1939 roku. Duszny, rozgrzany pokój, to wojskowa kwatera podporucznika Adama Kossowicza. W Łodzi tego lata wiele pokoi zajęto na kwatery oficerów sztabu armii. Mimo szeroko otwartych drzwi na balkon i obficie podlewanej hodowli rododendronów i fikusów, nie ma tu czym oddychać. A noce tego lata są takie parne. Burze chodzą wokół. Gdzieś to nad Zgierzem, to nad Pabianicami błyska. Przewalają się grzmoty. W Łodzi ani kropli deszczu. Gęstnieje morderczy, suchy upał. Dławi nieruchome, skrzepłe powietrze. Żadnych podmuchów wiatru. Odór topniejącej na dachach smoły i rozmiękłego asfaltu. Trujące wyziewy fabryczne. Istny fosgen, iperyt! Chory oddech nie skanalizowanych dzielnic. Doprawdy te noce są nie do zniesienia.

Śpią więc — Adam i Helena — na wniesionym tu niedawno szerokim łożu, całkiem nago. Ona zasypia na brzuchu, szeroko rozrzuciwszy ręce i nogi, głowę wtula w poduszkę. Okrągła, jędrna pupka, mocne uda. Ondulowane ciemne włosy na poduszce. Rozkrzyżowane ręce. I ta linia, trakt miłości znaczony różańcem kręgów, biegnący od karku w dół. Tak, Helena istotnie wygląda jak ucieleśnienie miłości grzesznej i zmysłowej. A jaka jest zaborcza! Adamowi po ukończeniu recitalu ars amandi pozostaje tylko emigracja: nad ranem gapiąc się na zarys jej ciała odbity w mętnym lustrze, myje się w porcelanowej miednicy. Woda bywa o tej porze prawie chłodna. Potem czmycha na dywanik pod drzwi balkonu. Tam rościela prześcieradło. W tych szeroko otwartych drzwiach wydaje się mu nieco przewiewniej, jakby z głębokiej studni wyprażonej przez dzień, zdobnej w jedno rachityczne drzewko, mogła napłynąć choć krztyna bardziej rześkiego powietrza.

Taki jest ten sierpień. Wieczorami, po powrocie z letniego kina, z kasyna, czy dancingu nie zamykali drzwi pokoju na klucz, nawykli do słodko-kwaśnej dyskrecji gospodyni, żony wojskowego lekarza, który niedawno przeniesiony został w ramach dyslokacji tego lata ze szpitala wojskowego do Kalisza (jakby w Kaliszu brakowało wenerologów). Miód cukrował się. Było dobrze aż po granice przesytu, jak się zdawało sybarycie i wrogowi związków małżeńskich, Adamowi Kossowiczowi. Było cudownie, jak powtarzała Helena. Miasto w upale cierpiało na bezsenność. Oni leżeli zrazu od siebie z dala.

— Dzisiaj nie! Za gorąco... — wzdychała Helena.

— I nie miałbym siły — mówił Adam.

Świeciła mała nocna lampka.

— O, Boże, co za upał — mówiła Helena — muszę się ochłodzić.

Rozrzucała szeroko ramiona i nogi. Zawsze jakby przez przypadek jej ręka zaczynała drażniącą wędrówkę. Dotykała jego ramienia, brzucha.

— Tylko tak, żeby nie było jeszcze bardziej gorąco! — zastrzegała się Helena. Zaraz o tym zapominali. I aż do świtu, kiedy to Adam uciekał pod balkon.

A drzwi pokoju nie zamknięte...

No i tego ranka zdarzyło się, zapukała pani doktorowa. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Wreszcie zdecydowała się uchylić drzwi. Wtedy ujrzała Adama w stroju adamowym, w pełnej gali znękanej po tej nocy męskości, rozpostartego na prześcieradle tuż u otwartych drzwi balkonu. Pani Rosenblatt miała słabość do tego blondyna. Spojrzenie na jego nagość nic tej słabości nie zaszkodziło. Jeszcze więc myśl: Mon Dieu! Gdyby tu nie zjawiła się ta zaborcza, energiczna i pewna siebie dziewczyna...

Wypadało się wycofać, przymknąć drzwi i zabębnić w nie pięścią już z całej siły. Dopiero wtedy tamci się obudzili. Było jeszcze szaro, a ściślej, z racji tych fikusów i rododendronów, szaro-zielono. Dzień tu dopiero się wsączał. Nigdy o tej porze nie budzono Kossowicza. Spiesznie uchylił drzwi, dopinając guzików piżamy, kolor weinrot z czarnymi wypustkami, na piersi kieszeń i duży, zawiłe splątany inicjał.

— Dzień dobry, co się stało? — spytał zaspanym głosem.

— Telefon do pana. Służbowy.

Pani Rosenblattowa tarasowała swymi krągłościami przejście i pachniała jak sklep z kosmetykami.

— Do mnie? O tej porze? — zdumiał się Kossowicz.

Od czasu, gdy powołany na „ćwiczenia rezerwy" zamiast do macierzystego pułku, trafił tu, do Łodzi (i to do jakiej służby!) nigdy jeszcze zwierzchnicy Adama Kossowicza o tej porze nie przypomnieli sobie o jego istnieniu.

Telefon stał na intarsjowanym sekretarzyku pod zamglonym secesyjnym lustrem, w sąsiedztwie porcelanowego słonia. W ogóle mieszkanko pani Rosenblattowej było właśnie takie: śliczne i wychuchane. Długi przedpokój zmieniony był w istną oranżerię, a brązowa lampa — Eros i Psyche — ocieniona buduarowym abażurem rzucała ciepłe światło na groźnie wyczekującą przed chwilą odłożoną słuchawkę.

— Tu Kossowicz. Halo, z kim mówię?

Adam widział w lustrze swe odbicie (nieźle się ta piżama prezentuje, warto było tyle zapłacić), a tuż za sobą panią domu, w peniuarze rozchylonym na pięknym biuście. Rany Boskie, istna Mae West! Nie darmo Hela, taka zawsze tolerancyjna, o Rosenblattowej mówi zawsze z irytacją „cycate babsko".

Ale uwaga! Słuchawka, przez sekundę martwa, ożyła i trzeszczy zeźlonym, nieznajomym głosem. — Długo pana trzeba budzić, poruczniku — warczy ktoś na drugim końcu linii. — Pił pan wczoraj? Czekam już z dziesięć minut!

— Ale kto mówi? — dopytuje się zaspany Kossowicz.

— Za kwadrans ma pan stać przed bramą swego domu. Przyjadę po pana.

— Ale z kim mam przyjemność?

— Czy przyjemność, to się jeszcze okaże. Nie poznaje pan? Mówi „Pokrzywa".

Adam myśli zrazu, że to pomyłka, lub głupi kawał wychodzących z kasyna „na gazie" znajomków.

— Co tam, do cholery! Słyszy mnie pan? — słuchawka skrzeczy ze złością.

— Tak jest! — krzyczy Adam. Bo to jedno słowo: do cholery, bardziej niż kryptonim „Pokrzywa" weryfikuje szefa, pułkownika Klon-Sawickiego i wystarcza, by przegnać senność. Po drugiej stronie linii już się rozłączono. Kossowicz stoi ze słuchawką w ręku.

— Mein Gott! — jęknęła pani Rosenblattowa (w zależności od stanu emocjonalnego okrzyki do Boga adresowała w różnych językach). — Zaczęło się? Niechże pan mówi!

— Co się miało zacząć?

— Bo mój mąż! W razie wojny...

— Może być pani spokojna. Po prostu służba...

Biegiem do swego pokoju! Starannie zamknąć za sobą drzwi! Helena nagusieńka siedzi na środku łóżka i ziewa jak kot.

— Nie mógłbyś powiedzieć tej Rosenblattowej, żeby...

— Helenka, przestań! Za dziesięć minut wyjeżdżam.

W popłochu zdziera z siebie piżamę, przez parę sekund zastanawia się, czy starczy czasu na golenie.

— Wyjeżdżasz? Gdzie? — krzyczy Helena.

A Rosenblattowa na pewno podsłuchuje.

— Cicho, na miłość Boską! I bez scen, Helka, bez scen!

— Adam, to nie fair...

— Nie fair? Komu mam to powiedzieć? Może naczelnemu wodzowi? Do niego zgłaszaj pretensje.

Wszystko z pośpiechu leci z rąk, rezygnuje z golenia, tylko przeciera twarz kolońską wodą. Ubiera się jak w czasie alarmu, w szkole podchorążych, na tempa. Tempo raz — gacie, spodnie, buty. Tempo dwa... mundur polowy, wyfasowany, w takich się teraz pełni służbę. Co zabrać ze sobą. Od trzech dni obowiązuje rozkaz: pełna gotowość. Zatem maskę? Hełm? Mapnik? Płaszcz? Visa? O, raju! W taki upał!

Helena wkłada biustonosz i popłakuje.

— To nie fair, Adam! — buczy — przecież mi obiecałeś wczoraj...

— Nie przejmuj się, kochanie. Co się odwlecze...

— Co się odwlecze? — to słowo bardzo ją zeźliło. — To ty zwlekasz!

— Helka, przestań! Błagam cię. Gdzie, u diabła, położyłem zegarek i pióro?

— Na nocnym stoliku. Pod pudełkiem z czekoladkami. Właśnie dzisiaj wyjeżdżasz? Może to z koleżkami ukartowałeś? A przecież obiecałeś mi...

— Jak tylko wrócę! — zapewnia.

Jeszcze moment wahania: co włożyć do torby? Są przedmioty, z którymi nie należy się rozstawać. Póki trwa miłość. W irracjonalnym odruchu pakuje do torby pękaty brulion. I tomik wyłowiony przed paru dniami tu, w Łodzi, u antykwariusza, grzbiet ze złoconego safianu, istne cacko. Frontispis: piękny autoportret Ernesta Amadeusza Theodora Hoffmanna. EATH jak w swoich notatkach skraca Adam. Portret en face, usta zaciśnięte i maniakalny wyraz twarzy. Od razu widać, że to pisarz nawiedzony.

Jeszcze niełatwa decyzja: pojedzie bez maski i hełmu, bez płaszcza. I tak wygląda jak bóg wojny. No, powiedzmy... półbóg.

— Czego się mizdrzysz? — żądli Helena. Stoi tuż za nim, widzi jej odbicie w lustrze. On, srogi wojak w suknach i skórze. A za nim piękna Helena!

Odwrócił się i doznał znajomego uczucia. A jednak chyba ją kocham! Schwycił ją za biodra, przykucnął i pocałował w pępek.

— Och, ty draniu! — Poczuł, jak ugięły się pod nią kolana. Szarpnęła go pieszczotliwie za włosy. — Ty cholerny draniu...

— Wszystko będzie dobrze — powiedział.

— Obiecałeś mi!

— Cierpliwości, jeszcze tylko trochę cierpliwości! — krzyknął. Otrząsnął się z sentymentalnych słabości. Wypadł z pokoju. Za drzwiami natknął się na panią Rosenblatt, rozgrzaną, pachnącą, zdążyła się na nowo wyperfumować. Soir de Paris.

— Niechże pan powie, co się stało, panie poruczniku?

Napierała wyzwalającym się spod szlafroka biustem i patrzyła oczami słodkimi jak rachatłakum.

— Zwykła rzecz: służba.

— Coś pan ukrywa!

— Słowo honoru.

— Gdzie pan wyjeżdża i kiedy pan wraca?

Na te pytania Adam nie odpowiedział. Zrobił zręczny zwód, wyminął panią Rosenblatt — istny ogród rozkoszy — i już był na schodach. Gdzie wyjeżdżam! — pomyślał z oburzeniem. — Żona lekarza wojskowego — bądź co bądź oficera! — nie powinna podobnych pytań zadawać młodemu podporucznikowi. I, mój Ty Boże, gdybyż on sam, tak śmiesznie zabobonny — jak mawia Helenka — odpowiedź na to pytanie znalazł choćby w wykładni swych marzeń sennych (...).

Wóz był coraz bliżej. Kossowicz już rozpoznał, że to wielki, czarny Buick, jeden z zarekwirowanych łódzkim fabrykantom. Stała tych samochodów cała sfora, jak na warcie, przed podjazdem pałacu na Julianowie — wspaniałe zaiste i godne high-life'u łódzkiego limuzyny! Buick, zwalniając od narożnika, ukazał się w pełnej gali, to znaczy z proporczykiem dowództwa armii na prawym przednim błotniku. Zatrzymał się u krawężnika, tuż przed Adamem. Otworzyły się drzwiczki, ktoś warknął:

— Wsiadaj pan!

Wewnątrz było jeszcze duszniej. Ruszyli. Adam ledwie zdążył obejrzeć się na już jakby własną (człowiek się zadomowił!) bramę. Buick nabierał szybkości. Na tle przedniej szyby, obok szofera połyskiwała matowo znajoma łysina. Nie mogło być pomyłki. Ta gruzłowata, pokryta brązowymi plamami czaszka należała do pułkownika Klon-Sawickiego. Na tylnym siedzeniu obok Adama tkwił natomiast jakiś młokos. Za ciemno było, by go rozpoznać, i tylko na naramiennikach wyraźnie połyskiwały dystynkcje. Ledwie plutonowego.

— Trudno pana, poruczniku, wyciągnąć z wyra — powiedział pułkownik jadowitym głosem i rozkaszlał się starczo. Trwało to długo, ulica Piotrkowska wypełniała się blaskiem dnia i też się nie kończyła. To miasto było monstrualną wsią-ulicówką. Gdzie my jedziemy, nastraszył się Kossowicz.

Wreszcie Klon-Sawicki przestał kaszleć. Odwrócił się, ukazał zmiętą, nie wyspaną fizys i powiedział służbowym tonem:

— Miał ze mną jechać kapitan Wolski. Ale tak wypadło... Więc wziąłem pana, boście, poruczniku, germanista, czy tak?

— W cywilu nauczam języka niemieckiego w liceum — przypomniał skromnie podporucznik rezerwy Adam Kossowicz.

— O to chodzi, o to chodzi! — burknął pułkownik. — Znacie język na tyle biegle, by protokołować?

Zatem kroiła się jakaś próba? Jakiś egzamin? O tej porze?

— No? Możecie protokołować po niemiecku? — zniecierpliwił się Klon.

— Chyba tak — odpowiedział Kossowicz niezbyt pewnie, przez to zdenerwowanie, bo teraz było już oczywiste, że jadą na robotę.

— O, Boże! — westchnął pułkownik. — Co to znaczy „chyba tak"? To jest wojskowa odpowiedź?

— Tak jest! — wypalił Adam zły na siebie. Rzeczywiście, rozmowa jak z kuratorem. A to przecież wojsko!

Niemieckim władał od dziecka. Bajek braci Grimm i Andersena, a nade wszystko Ernesta Theodora Amadeusza nasłuchał się w tym właśnie języku. Tak to już było w tym wiedeńskim domu babki Seweryny. Polskim w Wiedniu domu. Amfilada pokoi w pięknej secesyjnej willi, meble też wiedeńska secesja, ciężkie, dźwiękochłonne kotary, wszystkie echt C.K., jak całe to miasto, a na ścianach w pokoju ś.p. dziadka portrety rodowe, bardzo polskie i wielki arcypolski olej — „Jasyr" Brandta. Nawet po urzędniczej śmierci dziadka w nienaruszalnym porządku, nad mahoniowym łóżkiem nadal wisiały skrzyżowane dwie piękne batorówki i rewolwer, bardzo staromodny, sześciostrzałowy Colt, z którym dziadek kiedyś, w młodości „szedł do powstania", na modłę galicyjską, to znaczy na dwa dni. Cisza, służba chodzi na palcach. Gdy gnädige Frau drzemie mówi się szeptem, oczywiście — po niemiecku, choć Katie, stara kucharka przywieziona tu ze Lwowa, mówi po niemiecku z polska, a po polsku z ukraińska. To były czasy, myśli Adam, jaki ten Wiedeń był wygodny, przytulny, rodzony. A tu nagle: grozi wojna, Hitler, i pomyśleć, że też Austriak.

— Biegle pan mówisz? To świetnie. Dlatego pana wziąłem ze sobą — powiada łaskawie pułkownik. Odwraca się tak jakoś, jakby kark miał całkiem sztywny. Wpatruje się w twarz Kossowicza ostrym, drążącym spojrzeniem. — Nasłucha się pan... — zapowiada. — Chyba nie trzeba przypominać o tajemnicy wojskowej?

— Tak jest. Nie trzeba — bąka Adam. Wcale nie ma apetytu na zapowiadane tajemnice.

— To dobrze — mówi Klon. — No, a jak tam panu idzie robota? Ten słownik?

— Von Glodkowsky? Za tydzień, dziesięć dni będę gotów.

— To świetnie. A teraz dajcie mi spać. Całą noc oka nie zmrużyłem. Konwersujcie sobie z Zenkiem, proszę bardzo. Byle cicho.

Rozsiada się wygodnie, kumosi, wierci. Wreszcie donośnie chrapnął. A Buick już wyjeżdża z Łodzi, mija wiadukt, jakieś żydowsko-niemieckie pałace skryte w bujnych, zadbanych ogrodach. Z nędznych drewniaczków wysypuje się lud na poranną zmianę. Do miasta, na rynek jadą wysoko ładowane wozy.

Monotonna ta podróż i jak na razie nudna. A spać nie wypada. Adam wie, że jak zaśnie, tamci z trudem się go dobudzą. Pułkownik sobie wtedy użyje!

W pustce tej rannej godziny, na szosie do Pabianic posterunek wojskowej żandarmerii, zaspany i wymięty, przepuścił ich bez kontroli. Adam obejrzał się i spostrzegł, że żandarmi zatrzymali jakiś motocykl, otoczyli go, coś tam sprawdzali.

— Pan służy w sekcji tłumaczy, prawda? — mówi plutonowy. — Parę dni temu widziałem pana w sztabie na Julianowie.

— Jedziemy na długo?

— Nigdy nie wiadomo — plutonowy szczerzy zęby niby w uśmiechu. — Służba nie drużba! Zapoznajmy się — proponuje. — Zenon Rybak. Cała przyjemność. — I jeszcze ciszej, lecz za to z bardzo tajemniczą intonacją: — A dzisiaj trafiło nam się rzeczywiście coś ekstra!

C.d.n.

Rys. Janusz Szymański-Glane

OKRUCHY KONSPIRACJI

Z dotychczas powstałych w kraju książek o wojnie i okupacji, o ruchu oporu i konspiracyjnych ugrupowaniach, można by utworzyć dużą rozmiarami bibliotekę. Nie uwzględniając tzw. literatury faktu, opracowań, częściowo zbeletryzowanych wspomnień i pamiętników, samych powieści na ten temat zebrałoby się — skromnie licząc — kilkaset. Łatwiej zresztą byłoby sporządzić katalog powieści z ostatniego 35-lecia, w których wojna zupełnie jest nieobecna, niż takich, gdzie nie stanowiąc nawet głównego przedmiotu opisu pojawia się fragmentarycznie jako okres brzemienny w następstwa, zasadniczo wyznaczający późniejsze życie narodu i indywidualne losy Polaków. Pisano o czasach pogardy w różnorodny sposób, różne przyjmując punkty widzenia: żołnierza, cywila, dziecka, więźnia, członka zbrojnego podziemia. Wyrastając najczęściej, ale nie wyłącznie, z osobistych przeżyć i doświadczeń autora, powieść ukazywała zwykle obraz cząstkowy, epizodyczny, chociaż nie brakowało również prób bardziej syntetycznego ujęcia dziejów walki i okupacji, w krótkim chociażby przedziale czasu. Zdecydowanie przeważała tonacja tragiczna bądź patetyczna, lecz spotyka się także utwory, w których wojenna rzeczywistość jawi się w aurze przygody czy sensacyjności lub też przybiera kształty malowidła o epickim zgoła zakroju.

Wydawać by się mogło, że temat został dożczętnie wyeksploatowany. Tymczasem wojna ciągle jeszcze inspiruje literaturę i bynajmniej nic nie wskazuje, aby sytuacja w najbliższej przyszłości miała ulec zmianie. Tym bardziej, iż tematyka wojenna stale znajduje chętnego czytelnika. Coraz to wszakże trudniej, biorąc pod uwagę ilość książek i wielostronność oświetleń, powiedzieć coś odkrywczego w tej dziedzinie, znaleźć rejony i problematykę dziewiczą, dotąd nie poruszoną, a co najmniej nie sygnalizowaną w beletrystyce. Coraz mniejsze są możliwości ukazania czegoś autentycznie nowego, jeśli tym „nowym" ma być nie tylko proste dodawanie jeszcze nie znanych jednostkowych zdarzeń i faktów. Myśli takie rodzą się w związku z nowo wydaną powieścią Władysława Rymkiewicza „Długie czekanie". Pisarz znany jako autor wielu powieści historycznych i współczesnych, a szczególnie cyklu powieściowego o Łodzi, ściślej — o konfliktach i walce łódzkiego proletariatu ze światem kapitału, tym razem sięgnął do wydarzeń drugiej wojny, by z właściwą sobie predylekcją do ujęć „kameralnych" i podmiotowych przedstawić mały wycinek z działalności ludowej partyzantki na Kielecczyźnie.

Doznałby jednakże zawodu czytelnik, który chciałby na podstawie powieści Rymkiewicza poznać historię Pierwszej Brygady Armii Ludowej im. Ziemi Kieleckiej w okresie lata i jesieni 1944 r. Do tego bowiem oddziału trafia bohater i powieściowy narrator, Łukasz Zalega, w nim przebywa kilka miesięcy, ażeby opuścić go w momencie, gdy oddział przygotowuje się do przebicia przez linię frontu. Działania brygady, bez określenia ich chronologii i wyraźnego umiejscowienia, zostają odkonkretnione i przestają w istocie znaczyć w sensie kronikarskiego zapisu. Relacje z potyczek z przeważającymi siłami wroga, akcji dywersyjnych, zasadzek, opisy wyczerpujących, znojnych marszów, trudów i niewygód, jakkolwiek dokonywane z perspektywy narracji osobowej, przypominają dziesiątki innych opisów i relacji, i potwierdzają sąd o postępującej w tym zakresie konwencjonalizacji techniki narracyjnej. Podobnie szereg problemów tyczących wrogiej działalności NSZ, politycznego i społecznego kształtu przyszłej Polski, spraw zemsty, dyscypliny i partyzanckiej solidarności, problemów traktowanych zdawkowo i niejako na marginesie fabuły, nie przydaje powieści indywidualnego piętna, gdyż należy do zespołu zagadnień stale obecnych w literaturze o zbrojnej konspiracji, a przedstawianych niejednokrotnie mniej szablonowo. Pomijam tu drobne niezręczności w opisach obozowego życia i czynów bojowych „chłopców z lasu", ponieważ zdarzyć się mogą każdemu, nawet świetnie i z autopsji znającemu partyzantkę pisarzowi. Byłoby wszelako lepiej, gdyby np. Łukasz w czasie wysadzania pociągu nie czuł tak intensywnie gorącego podmuchu lokomotywy, która za chwilę wylecieć ma w powietrze.

Nie można przecież „Długiemu czekaniu" stawiać zarzutu, iż nie jest doskonałym zwierciadłem, wiernie odbijającym skrawek wojennej rzeczywistości. Powierzając narrację postaci należącej do świata przedstawionego, pisarz świadomie zawęził pole widzenia, punkt ciężkości przesunął na sferę przeżyć i doznań człowieka, a z faktów historycznych zbudował tylko pomocniczą konstrukcję, w której osadził losy fikcyjnego bohatera. Łukasz, nim wstąpił do leśnego oddziału, spędził w mieście (w Zgierzu) kilka koszmarnych lat okupacyjnej nocy, był niedobrowolnym świadkiem egzekucji stu więźniów politycznych, uczestniczył w codziennym „życiu na niby". „W czasie wojny miasto stało się dla mnie miejscem wtajemniczenia w śmierć i okrucieństwo, uosobione w pysznych esesmanach z emblematami trupich czaszek na czapkach" — zwierza się, w lapidarnym skrócie zamykając najgłębszą treść doświadczenia. Terror niemiecki budzi w nim żądzę zemsty, lęk o własne istnienie przyspiesza decyzję włączenia się do konspiracji. Zatruty jadem nienawiści, chciałby krwawym terrorem odpowiedzieć na terror okupanta. Obsesyjne pragnienie odwetu koncentruje się później na osobie członka NSZ, „Zagończyka", podejrzanego o współpracę z gestapo, ale przede wszystkim zagrażającego — w mniemaniu Łukasza — bezpieczeństwu kochanej dziewczyny. Gdy Anka ginie, zamordowana w radomskim więzieniu, w swojej wyobraźni poddaje sprzedawczyka wyrafinowanym torturom. Ostatecznie strzał do karczmarza, będącego faktycznym sprawcą śmierci Dziwiszówny, jest tyleż aktem osobistej zemsty, co i wymierzeniem zbrodniarzowi sprawiedliwej kary.

Najciekawszym niewątpliwie elementem powieści jest kreacja głównego bohatera. Skomplikowany charakterologicznie, wewnętrznie antynomiczny, o powikłanym rysunku duchowym, wrażliwy i ambitny („Ambitny" — to również jego partyzancki pseudonim), z zadatkami na megalomana, ale jednocześnie ostro przeżywający stany depresji wynikłe z poczucia niepełnowartościowości, naiwny i — odwrotnie — zdolny do jasnej, mądrej i sceptycznej refleksji, Łukasz żyje w nieprzystosowaniu do warunków, środowiska, czasu, wszędzie trochę wyobcowany, odmienny, przekorny, swoiście niedorosły, bardzo inteligencki, zawsze w polemice i niezgodzie z ludźmi, normami i prawami, bez swojego miejsca i bez przydziału w społeczeństwie. Nawet próba adaptacji w partyzanckiej zbiorowości kończy się dlań porażką. Jako taki właśnie, Łukasz kontynuuje do pewnego stopnia poczet bohaterów Rymkiewicza z innych jego powieści (np. Paweł z „Ucieczki z ziemi obiecanej", Wojnicz z „Czas pojedna, trawa porośnie" czy też Sebastian z „Wtajemniczenia"). Jeśli jednak sylwetki postaci z poprzednich utworów posiadały solidniejszą motywację rodzinno-środowiskową, a także klasową, to w przypadku Łukasza takiej motywacji zabrakło. Jego osobowość formuje wojna, lecz nie wszystko w jego psychice i zachowaniu daje się wojną wytłumaczyć.

Do przeoczeń zapewne w ostatecznej redakcji zaliczyć trzeba pojawiające się w tekście — na szczęście rzadko — ogólnikowe sformułowania w rodzaju: „Świat za okupacji to było piekło. Nikt nie znał dnia ani godziny, w której zostanie zawleczony na gestapo". Po lekturze Borowskiego, Nałkowskiej, Rudnickiego, Bratnego i innych pisarzy nie brzmią one zbyt przekonująco, a w każdym razie czytelnik, zwłaszcza młody, nie odczuje, wbrew autorskiej intencji, tego ładunku tragizmu, jaki został w nich zakodowany.

STANISŁAW MAJCHROWSKI

Władysław Rymkiewicz, Długie czekanie. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, stron 202, cena 22 zł.

NADZIEJE I ZŁUDZENIA

Przypuszczam, że zaprzyjaźniony kierownik jednej z łódzkich księgarń znów skrzywi się na mój widok i rzeknie: „znowu pisał pan — profesorze — o takiej książce, z którą mieliśmy kłopot! Po co robić ludziom nadzieje na coś, czego i tak nie będą mogli znaleźć!" Rzeczywiście, książka której pragnę dziś poświęcić swoją uwagę, sprawiła sporo kłopotu księgarzom — bo egzemplarzy było stanowczo zbyt mało — i nie mniej zawodu potencjalnym czytelnikom, skoro gdy nie wiedzieć w jaki sposób zwiedzieli się oni o jej wydaniu i ruszyli do księgarń, w większości przypadków doznali zawodu i zostali odprawieni z kwitkiem. A rzecz jest zgoła niewinna, żadne tam ilustrowane dzieło o technologii miłości, ale naukowa rozprawa historyczno-literacka, a po trosze i polityczna. Książkę tę napisał Włodzimierz Wójcik, zaś nosi ona tytuł: **„Nadzieje i złudzenia. Legenda Piłsudskiego w polskiej literaturze międzywojennej"** i została wydana w ramach Prac Naukowych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach z datą ubiegłego, 1978 roku.

Legenda J. Piłsudskiego była w czasach międzywojennych, a po części także i później niewątpliwym faktem, którego istnienie przyznawali zarówno jej rzecznicy, jak i przeciwnicy tak z lewa, jak z prawa. Jest na to dostatecznie wiele dowodów, by wspomnieć przytaczane przez W. Wójcika teksty publicystyki „Walki Klas", z drugiej zaś strony enuncjacje endeckich przeciwników legendy, usiłujących się jej przeciwstawić, chociaż bez większego powodzenia. Jeżeli jakiś fakt ze sfery świadomości społecznej ma kiedyś rzeczywiście miejsce, zadaniem nauki jest — rzecz nie wymaga chyba objaśniania dlaczego — jego adekwatne rozpoznanie. Z pewnością rację ma W. Wójcik powiadając o interesującej go legendzie, że „samo lekceważenie i nieuznawanie tego rodzaju legend niczego nie rozwiązuje, zaś naukowa, racjonalna refleksja nad nimi nie oznacza bynajmniej ich nobilitacji". W końcowej części tego zdania pobrzmiewa jednak niepokojąca nuta jak gdyby tłumaczenia się, że autorowi książki nie chodzi o jakąkolwiek „nobilitację" legendy Piłsudskiego. Odkąd to zajmowanie się jakąś legendą ma być „nobilitowaniem" czegokolwiek? Smutne, że ów tłumaczący intencje autora zwrot znalazł się w tym miejscu: widocznie W. Wójcik uważa, że są jeszcze u nas ludzie którzy sądzą, że jeśli w świadomości społecznej funkcjonowało kiedykolwiek coś, czego nie akceptujemy, należy to po prostu przemilczeć. Rzecznicy takiego instrumentalizmu nie zdają sobie widać sprawy z dawno stwierdzonego już w nauce faktu, że przemilczanie jest właśnie... najlepszą pożywką dla przetrwania i rozwoju mitów, zaś jedyna droga do ich przezwyciężenia wiedzie przez ich adekwatne pod względem naukowym rozpoznanie, oraz wszechstronne upowszechnienie ustaleń nauki. Tylko tą drogą można dojść do obiektywizacji obiegowych sądów, a co za tym idzie do zdemitologizowania różnego rodzaju legend i mitów.

Dla czytelników, starających się zgłębić mechanizmy przemian świadomości społecznej Polaków w okresie międzywojennym, lektura książki W. Wójcika da wiele do przemyślenia. Aczkolwiek rozprawa ta nie jest pracą socjologiczną, wykorzystuje przecież rozbudowany aparat pojęciowy, umożliwiający wszechstronną analizę „topiki" badanej przez uczonego legendy. W. Wójcik nie ograniczył się jednak tylko do tego: starał się dotrzeć do korzeni mitu, prześledzić jego uwarunkowania, jak również ewolucję, skupiając swą badawczą uwagę na funkcjach społecznych i politycznych legendy. Jest rzeczą oczywistą, że co innego znaczyła legenda Piłsudskiego w dobie legionów, co innego zaś po przewrocie majowym; autor wykazuje, że nie była to przy tym ta sama legenda, że mit podlegał przekształceniom, zgodnie z zapotrzebowaniami środowisk, którym służył. W. Wójcik nie kończy też swych poszukiwań ze śmiercią bohatera legendy: w końcowych partiach swej pracy ukazuje, jak legendę tę wykorzystywali później „piłsudczycy bez Piłsudskiego".

Dla czytelników, którym marzyłaby się kontynuacja legendy, rozprawa W. Wójcika będzie gorzkim zawodem. Badacz nie tylko nie „nobilituje" analizowanego przez siebie mitu, ale wręcz przeciwnie: demaskuje go, ukazuje bowiem, że to, co dla hołdowników legendy było rzeczywistością, naprawdę było jedynie... mitem. I na tym polega — naszym zdaniem — wykraczające już poza ramy ściśle naukowej refleksji znaczenie tej interesującej książki.

W zakończeniu swej książki W. Wójcik powiada: „Legenda Piłsudskiego, zjawisko heterogeniczne i niezwykle dynamiczne, ulegające ewolucji i licznym przeobrażeniom, nie tyle mówiła o samym marszałku, ile o społeczeństwie, które ją stworzyło, o pisarzach, którzy ją ugruntowali w wyobraźni narodu. Swoją wielobarwnością i sugestywnością wyrażała nadzieje Polaków na ułożenie stosunków w niepodległej ojczyźnie na zasadach społecznej sprawiedliwości. Niosła z sobą nadzieje, ale i złudzenia".

ANDRZEJ F. GRABSKI

POCHWALNIE O „STUDIU 2"

Od kilku lat pojęcie „wolna sobota" kojarzy się nie tylko z wydłużonymi kolejkami po koszyczek w supersamie i nie tylko z rozlegającym się spośród bloków waleniem trzepaczkami w „Dywilanowe" produkty. „Wolna sobota" to także program — tasiemiec, którego formuła bezpośredniego dialogu z widzami jest jednym z najświetniejszych pomysłów naszej tv. Ktoś bywały w świecie powie, że tam tego typu programów jest więcej (bo i wolnych sobót więcej!), że powstały na długo przedtem nim ujrzeliśmy na ekranie ensemble Walter — Mikołajczyk — Hopfer, że można tam obejrzeć całe fajerwerki atrakcji. To prawda. Tak czy inaczej koncepcja „Studia 2" przyjęła się, została przez naszą widownię powszechnie zaakceptowana i, co ważniejsze, utrzymuje wciąż wysoki poziom. A że nie jest to łatwe zaświadcza codziennie serwowany nam program. Świadczą o tym także inne bloki programowe „Studio 8" i „Tylko w niedzielę", zwłaszcza ten drugi — przypadkowy (często) potpourri, zapowiadany przez dwa męskie głosy z zaświatów.

Na popularność i atrakcyjność „Studia 2" składają się nie tylko poszczególne audycje. Do niektórych można by i mieć różne pretensje. Tu za przykład niechaj posłuży działalność Wandy Konarzewskiej. Jej audycja to taka „Sonda" przy małej czarnej. A chyba nie tylko o to chodzi. „Kosmos 1979" z ostatniego „Studia 2" poświęcono telepatii. I znów był to program powierzchowny i nie z zamierzonym, chyba, przymrużeniem oka. A przecież zapowiadał się atrakcyjnie, bo i naukowcy i eksperyment, Maciej Zembaty i Lucyna Winnicka.

Jak powiedziałem, można krytycznie patrzeć na poszczególne odcinki programu „Studia 2". To krytyczne spojrzenie wyostrzyła ostatnia jego edycja. Wiadomo przecież, że jeszcze jedną zaletą omawianego bloku programowego były filmy. Ostatniej soboty ozdobą i zwieńczeniem miał być niewyświetlany w kinach film Francois Truffauta „Dwie Angielki i kontynent". Pojawił się nawet mowopłynny Jacek Fuksiewicz, aby nas właściwie przysposobić do odbioru tego obrazu. I cóż, przyszło nam oglądać historię o tym, jak dwie egzaltowane panienki kochały się (?) w jednym mało dorosłym panu. A poza tym kolejny odcinek „Lat złudzeń" no i „Cosmos 1999" Czy rzeczywiście są takie pustki w magazynach telewizyjnego kina? Sądzę, iż byłoby to z pożytkiem zarówno dla „Studia 2" jaki i dla jego widzów, gdyby program ten i jego redaktorzy usilniej dbali także o dobór filmów. I Francois Truffaut robi rzeczy mało strawne, zatem nie zawierzajmy bezkrytycznie egzaltacjom Jacka Fuksiewicza.

Miało być pochwalne. Patrzę na to co napisałem i widzę że jakoś to z powyższych zdań nie wynika, że pochwały są powierzchowne, a gdzie mowa o konkrecie to już się wykrzywiam. Myślę, iż przyczyną tego stanu rzeczy jest ogólne rozeźlenie na telewizję, że to, co w niej dobre rozmywa się tym, co gorsze, albo całkiem złe. A przecież było w „Studiu 2" sporo dobrej muzyki i tej lżejszej i tej poważnej. Było wiele minut atrakcyjnego sportu, ciekawi „goście Studia", rewelacyjny „Muppet show" no i Włodzimierz Lubański w rozmowie z Janem Ciszewskim. Tu na marginesie można powiedzieć, iż łatwiej wspominać sukcesy niż rozmawiać z człowiekiem, który w jakimś sensie przegrał. Myślę tu o cyklu rozmów Edwarda Mikołajczyka z Jackiem Gmochem. Wprawdzie te wywiady oglądaliśmy poza „Studiem 2" jednak ich tonacja i stylistyka wywodzi się w prostej linii z formuły wypracowanej przez zespół kierowany przez Mariusza Waltera, tak jak program „Śledztwo zostało wznowione" czy audycje Eugeniusza Pacha. Bo przecież — co trzeba podkreślić — „Studio 2" to nie tylko dziesięć godzin emisji w wolne soboty. Tym szyldem są firmowane — w najlepszym tego słowa znaczeniu — i inne audycje w codziennych, nieodświętnych programach. Stało się więc „Studio 2" w TVP jakby odrębnym kanałem telewizji bogatej w pomysły, telewizji ambitnej i, co ważne, urozmaiconej. Jednym słowem takiej jaką chcielibyśmy oglądać na co dzień. Liczy się tu kompetencja, osobowość, o co przecież niełatwo, i redakcyjna solidność. Nawet odpersonalizowane i z dystansem obiektywizmu przekazywane wiadomości „Dziennika Tv" w „Studiu 2" nabierają cech bezpośredniej rozmowy lektora z widzem.

GRZEGORZ GAZDA

P.S. Z zapowiedzi na tydzień bieżący chciałbym polecić widowisko historyczne, którego część pierwsza ma być emitowana w piątek 10 sierpnia w drugim programie o godzinie 21.10. Piszę o tym, bo gazety — jak zwykle — podają tylko tytuł „Idea i miecz". Twórcą tego widowiska jest autor „Konstytucji 3 Maja", „Kroniki polskiej", „Wielkiego powrotu" czyli Grzegorz Królikiewicz. Nie uprzedzając oceniających opinii można przypuszczać, że znów obejrzymy rzecz ze wszech miar interesującą.

G.G.

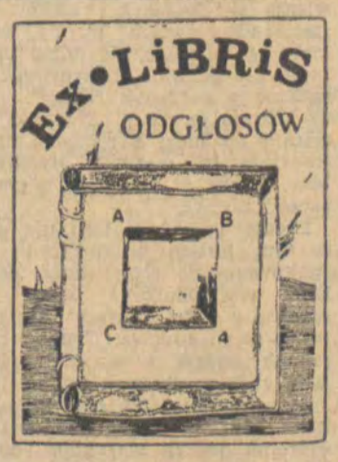

MAFIA

Aptekarz i doktor, mieszkańcy sycylijskiego miasteczka zostają zabici podczas polowania. Mimo, że śmierć aptekarza zapowiedział anonim, wysłany do niego na parę dni przed morderstwem, to tragiczne zdarzenie przyjęte jest przez mieszkańców miasteczka z filozoficznym spokojem. Jedynie profesor Laurana, obcy w miasteczku opanowanym przez skorumpowaną grupę notabli, zaczyna dociekać prawdy. Nie wystarcza mu pobieżne i nic nie wyjaśniające śledztwo policji. Zaczyna szukać zbrodniarza. Kiedy jest już blisko wyjaśnienia zagadki, ginie. Taka, w najogólniejszych zarysach, jest treść książki Leonarda Sciascii „Każdemu, co mu się należy (od mafii)".

Sciascia, sycylijski pisarz, całą swoją twórczość poświęcił problemom wyspy, a przede wszystkim jej stosunkom politycznym. Sprawy te opisał już w swojej debiutanckiej powieści wydanej w roku 1956, a także w dwóch jego znanych w Polsce powieściach: „Dzień puszczyka" i „Todo modo". Leonardo Sciascia jest również autorem esejów, opowiadań i noweli historycznych, w których głównym tematem jest mafia i jej powiązania ze sferami rządzącymi. Na poły tylko kryminalna powieść „Każdemu, co mu się należy (od mafii)" została sfilmowana, a film uzyskał na festiwalu w Cannes w roku 1967 nagrodę za najlepszy scenariusz.

Powieść Sciascii ukazała się w kieszonkowej serii „Książki i Wiedzy" — „Koliber".

Leonardo Sciascia, „Każdemu, co mu się należy (od mafii)", KiW, W-wa 1979, str. 156, cena zł 10,—

W STAROPOLSKIEJ KUCHNI

Maria Lemnis i Henryk Vitry, autorzy tak popularnych publikacji, jak „Książka kucharska dla samotnych i zakochanych" oraz „Iskier przewodnik sztuki kulinarnej" przygotowali dla czytelników lubiących kucharzyć z fantazją, a także interesujących się historią tej jednej z przyjemniejszych sztuk, nowe wydawnictwo. Jest nim książka „W staropolskiej kuchni i przy polskim stole". I od razu pierwsza uwaga. Nie jest to podręcznik kulinarny, aczkolwiek zawiera sporo smakowitych, już choćby z lektury, przepisów. Maria Lemnis i Henryk Vitry zawsze lubili pogawędzić ciekawie o kuchni i ten sam gawędziarski ton znajdziemy również w ich najnowszej książce poświęconej, jak z tytułu wynika, historii polskiego obyczaju kulinarnego.

Dzięki autorom możemy zajrzeć do najstarszej kuchni Piastów, przypominamy sobie o słynnym „bankiecie dyplomatycznym", jaki Bolesław Chrobry wydał w Gnieźnie na cześć cesarza Ottona III, o słynnej uczcie u Mikołaja Wierzynka w 1364 roku, poznajemy kuchnię Jagiellonów, kulinarne obyczaje wieku XVI i XVII, dowiadujemy się, co oznaczała śliwka podawana królowi Stanisławowi Augustowi podczas słynnych objadów czwartkowych (elegancki znak dla gości, że należy kończyć biesiadę). Kulinarne peregrynacje kończą się na roku 1875. Autorzy przedstawiają kuchnię królewską i magnacką, ale także szlachecką, mieszczańską i chłopską. Wszystko, co złożyło się na charakter i odrębność kuchni polskiej.

Pięknie wydana przez „Interpress" książka „W staropolskiej kuchni i przy polskim stole" ukazała się w sporym nakładzie, w językach polskim, niemieckim i angielskim.

Maria Lemnis, Henryk Vitry, „W staropolskiej kuchni i przy polskim stole", Wydawnictwo „Interpress", W-wa 1979, str. 327, cena zł 60,—

VOSS

W serii „Współczesna proza światowa" ukazała się powieść Patricka White'a „Voss". Przypomnijmy, że ten australijski pisarz w roku 1973 został laureatem nagrody Nobla. Kształcił się w Anglii, gdzie w 1935 roku ukończył uniwersytet w Cambridge. W latach 1940—1945 służył na Bliskim Wschodzie, jako oficer wywiadu RAF. Po wojnie wrócił do Australii i poświęcił się wyłącznie pisarstwu.

Patrick White zadebiutował w roku 1939 powieścią „Szczęśliwa dolina". Jest również autorem opowiadań, sztuk teatralnych i utworów poetyckich. Na język polski przetłumaczono wcześniej pięć jego powieści — „Żywi i umarli", „Wóz ognisty", „Węzeł", „Wiwisekcja" i „Oko cyklonu".

Obecnie wydana powieść „Voss", w oryginale ukazała się w roku 1957. Akcja rozgrywa się w roku 1845, w momencie rozpoczęcia ekspedycji złożonej z sześciu białych i dwóch tubylców, która z Sydney wyrusza w kierunku zachodniego wybrzeża Australii. Na czele ekspedycji stoi niemiecki podróżnik, Voss. Opowieść o tragicznych losach tej wyprawy oparta jest na autentycznej historii podróżnika Ludwiga Leichhardta, który w roku 1848 zaginął na australijskich pustkowiach. Dramatyczna fabuła, wnikliwa obserwacja psychologiczna, fascynująca niesamowitością postać głównego bohatera powieści — to zalety „Vossa", który, podobnie jak inne powieści White'a, znajdzie chyba u nas wielu czytelników.

Patrick White, „Voss", przełożyła M. Skibniewska, PIW, W-wa 1979, str. 457, cena zł 80,—

NIE POKLEPYWAĆ!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W trzech poprzednich numerach „Odgłosów" opublikowaliśmy w całości artykuł Stefana Kowala pt. „Na błędnych szlakach kosmitów". Artykuł ten ukazał się w numerze 3 „Astronautyki". Czytelnicy interesujący się różnymi hipotezami na temat przeszłości naszej cywilizacji mieli okazję zapoznania się z poglądami przeciwnymi poglądom Ericha von Dänikena.

Każdy kto publicznie dzieli się swoimi poglądami na jakikolwiek temat, musi być przygotowany na to, że jego poglądy bądź znajdą uznanie, bądź spotkają się ze sprzeciwem. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że wielu różnych autorów podchodzi do tego, co głosi Erich von Däniken w sposób krytyczny lub w ogóle nie zgadza się z jego hipotezami. Do grona tych ostatnich należy również autor „Na błędnych szlakach kosmitów".

Polemizowano już z Erichem von Dänikenem w różny sposób. Stefan Kowal powołuje się na przykład na „Der Spiegel" z 19 marca 1973 roku. Pisze on w związku z tym: **„redakcja zachodnioniemieckiego czasopisma nie przebiera w słowach, których nie będę tu powtarzał"**, dając tym do zrozumienia, że ma zamiar polemizować przy pomocy argumentów, a nie inwektyw. Byłoby to bardzo dobrze, gdyby była to prawda.

Stefan Kowal powołuje się na numer zachodnioniemieckiego tygodnika sprzed sześciu lat, jakby nic nowego na ten temat nie napisano w tym czasie. A przecież w 1976 roku na łamach naszej „Kultury" toczyła się ostra dyskusja na temat hipotez Ericha von Dänikena. A nie była to jedyna dyskusja na ten temat. Dlaczego więc odgrzebywać tak stare teksty? Ale to już sprawa autora.

Gorzej jest natomiast z sugestią, że Stefan Kowal polemizować będzie używając argumentów, a nie brzydkich słów. Oto bowiem już w pierwszym zdaniu mamy epitet: **„szwajcarski hotelarz"**. Jest niewątpliwie prawdą, że Erich von Däniken nie jest zawodowym archeologiem, ani uczonym. A to już jest poważny zarzut. Ten fakt w oczach wielu dyskredytuje wszystko, co **„szwajcarski hotelarz" wymyśli, nawet gdyby** miał stuprocentową rację.

Ten sposób dyskredytowania przeciwnika nie jest nowy. Historia nauki zna wiele podobnych przypadków. Klasycznym przykładem jest przypadek Heinricha Schliemanna, który w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku uparł się, że Troja nie była mitem, tylko istniała faktycznie. Miał on nieszczęście być handlarzem mydła i śledzi i do dziś mu tego nie zapomniano. Oto „Encyklopedia powszechna" PWN informuje, że był to **„niemiecki archeolog amator"**. Widać fakt, że Heinrich Schliemann odkrył i odkopał Troję nie może zmyć na jego honorze naukowym plamy, jaką było handlowanie mydłem i śledziami. Pozostał „archeologiem amatorem", choć jego wkład w rozwój archeologii wielokrotnie przewyższa przyczynkarską działalność niejednego docenta.

Gdybyż to był tylko jeden przypadek. Ale nie. Byle magister, którego główną zasługą jest ukończenie wyższej uczelni, będzie miał w pogardzie każdego nieutytułowanego faceta, który odważy się myśleć krytycznie i na dodatek jeszcze samodzielnie. Ludwika Pasteura, który nie był przecież medykiem, a tylko chemikiem i mikrobiologiem, uznano za hochsztaplera i szaleńca, kiedy odkrył szczepionkę przeciw wściekliźnie i próbował namawiać lekarzy do jej stosowania.

Tak było w XIX wieku. Czy coś zmieniło się później? Mogłoby się przecież wydawać, że w wieku XX, w okresie szybkiego rozwoju nauki, liczy się przede wszystkim to, co kto ma do powiedzenia, a nie to, kim ten ktoś jest. Ale fakty przeczą takiemu mniemaniu.

Kilkanaście lat temu pewien grecki inżynier elektryk nazwiskiem Christophilos zajmował się w wolnych chwilach fizyką jądrową. Grecja nie posiadała żadnych tradycji w tej dziedzinie nauki. „Fizyk amator" dokonał obliczeń dotyczących konstrukcji urządzenia do przyśpieszania pędu cząsteczek, mających wziąć udział w procesie łączenia się jąder wodorowych. Przesłał je amerykańskim specjalistom, którzy obliczenia te zlekceważyli i schowali do szafy. W jakiś czas później amerykańscy i radzieccy specjaliści doszli do takich samych wniosków i wtedy Amerykanie przypomnieli sobie o greckim inżynierze i zaprosili go do Kalifornii, aby wspólnie z nimi pracował w tamtejszym ośrodku fizyki atomowej.

Takich przykładów w rozwoju współczesnej nauki można znaleźć więcej. Wniosek stąd prosty. Nadal liczy się nie to, kto co mówi, ale to, kim jest. W takim układzie **„szwajcarski hotelarz"** nie ma żadnych szans, nawet wtedy, gdy ma rację.

Aliści Stefan Kowal stara się być obiektywny. Pisze on:

„Tak wiele faktów wymyka się jeszcze naszemu poznaniu, że byłoby nierzetelne z góry odrzucać te których nie potrafimy jeszcze wytłumaczyć. Nie wolno jednak doczepiać fantastycznej interpretacji do wydarzeń, które można wyjaśnić na gruncie współczesnej nauki w sposób racjonalny".

Po takiej deklaracji wydawałoby się, że autor „Na błędnych szlakach kosmitów" przedstawi całą gamę argumentów, ale czytelnika — niestety — spotyka rozczarowanie. Oto bowiem Stefan Kowal uważa, że **„podobieństwo obiektu kultowego Inków, wykonanego ze złota, do samolotu jest czymś powierzchownym"**. Zgoda. Co wobec tego przypomina? **„Równie dobrze** — pisze Stefan Kowal — **ten drogocenny obiekt może przedstawiać rybę"**. Dawny rysunek na skale zdaniem Ericha von Dänikena przypomina postać kosmonauty. Zdaniem Stefana Kowala **„może obrazować człowieka osłoniętego szczelnie tkaniną w celu ochronienia się przed niesionymi wiatrem tumanami piasku"**. Tego typu przypuszczenia można snuć w nieskończoność. Każdy może mieć takie skojarzenia, jakie są mu wygodne. Tylko, co to ma wspólnego z racjonalizmem? Co to wyjaśnia?

Najłatwiej jest polemizować, kiedy ustawi się sobie autora do bicia i bije się go bezlitośnie. Taka metoda polega na tym, że z poglądów i hipotez danego autora wybiera się te, które są najbardziej wątpliwe i łatwe do zbicia. Najprościej jest udowodnić, że Erich von Däniken nie ma racji w sprawie piramid. Uważa on, że dokonanie tak skomplikowanego przedsięwzięcia w tak odległych czasach było niebywale trudne i że dotychczasowe próby wyjaśnienia metod wznoszenia piramid są niedoskonałe. Jest to poważny zarzut postawiony współczesnej nauce i broni się ona wytykając Dänikenowi ignorancję.

W lipcu 1976 roku „Kultura" drukowała artykuł Ronalda N. Bracewella, w którym autor wykazał, że Erich von Däniken, kwestionując możliwość zbudowania piramid przy pomocy sznurów i drewnianych rolek, nie wziął pod uwagę ówczesnego egipskiego **„handlu drzewem cedrowym"** oraz **„muzealnych zbiorów sznurów"**, a także olinowania ówczesnych egipskich statków. Zarzucił mu więc, że **„nie uwzględnił elementarnej współczesnej wiedzy o sprawach, o których pisze"**.

Wtedy też Waldemar Łysiak polemizując z tezami Ronalda N. Bracewella napisał:

„Naukowcy nie potrafią przekonywająco wytłumaczyć, jakim cudem Majowie cięli bloki kamienne tak, że po spasowaniu ich nie można w spoiny wetknąć żyletki, a Asyryjczycy transportowali na długich dystansach bloki kamienne o takiej wadze, że współczesna technika nie byłaby w stanie przesunąć ich o milimetr".

Waldemar Łysiak przypomniał wówczas, że:

„...podczas największej dotychczas akcji UNESCO w Egipcie (podniesienia elewacji świątyń Abu-Simbel) trzeba było pociąć posągi, gdyż nie znamy sposobów podnoszenia w całości takich ciężarów (starożytni podnosili o wiele większe), a szczeliny po cięciach najprecyzyjniejszą aparaturą trzeba było zalepiać, bo nie żyletkę, a kciuk można było włożyć w niektóre".

Można przy tej okazji wyrazić tylko zdziwienie, że Stefan Kowal, krytykując poglądy Ericha von Dänikena na temat budowy piramid pamięta o numerze tygodnika „Der Spiegel" z 19 marca 1973 roku, a jakoś uszły jego uwagi publikacje „Kultury" z 1976 roku, które zarzuty pod adresem Dänikena stawiają w innym świetle. Chyba, że jest to już taka metoda polemiki.

Stefan Kowal deklarujący obiektywizm zapomniał jakoś dodać, że w CSRS opatentowano niewielkie plastikowe piramidki, które odpowiednio zorientowane w stosunku do stron świata regenerują stare żyletki. Trudno mu jakoś przyszło też stwierdzić, że nasza wiedza na temat piramid jest ciągle jeszcze fragmentaryczna i kto wie, czy w pewnych punktach nie jest fałszywa. Zbyt wiele pytań pozostaje bowiem bez odpowiedzi. Ale dla autora „Na błędnych szlkach kosmitów" wszystko jest jasne. Piramidy były — jego zdaniem — okazałym **„miejscem spoczynku dla władcy o boskich atrybutach"**, a poza tym **„były to po prostu wielkie roboty publiczne"**. Robotami publicznymi były też wielkie rysunki na płaskowyżu Nazca.

Rysunki z Nazca dobrze są widoczne z góry. Ale jakoś wszyscy badacze tego fenomenu zapominają o tym. Uważają oni, że te rysunki — jak to pisze S. Kowal — **„wykorzystywano dla celów zarówno kultowych, jak i rolniczych, umożliwiając z ich pomocą podejmowanie określonych prac polowych"**. Na taki wniosek pozwala fakt, że **„pewne pasy na płaskowyżu Nazca wskazywały położenie wschodu i zachodu Słońca w dniach przesilenia letniego i zimowego, a niektóre inne też miały związek z kalendarzem"**. Załóżmy, że tak było, tylko wtedy powstaje pytanie: jak dokonywano obserwacji i czy rzeczywiście, dla podejmowania pewnych prac polowych potrzeba było aż takich przedsięwzięć? A skoro tylko rodzi się wątpliwość i czegoś nie można racjonalnie do końca wyjaśnić, wtedy zaraz pojawia się teoria wytrych — „wielkie roboty publiczne". Tylko, że to znów niczego nie wyjaśnia.

Poza tym, jak pisał w 1976 roku w „Kulturze" Waldemar Łysiak, już w 1973 roku **„astronom prof. G. Hawkins ze Smithsonian Astrophisical Observatory obalił przy pomocy komputerów sensowną z pozoru wersję, iż Nazca to „calendario"**. I żeby było śmieszniej trzeba dodać, że w odległości 160 km od równiny Nazca, na wznoszącej się pod kątem 45 stopni ścianie, znajduje się inny rysunek mający 183 metry długości i 3,8 metra szerokości ramion, który nazwano „Kandelabrem Pisco". Znajduje się on bowiem nad Zatoką Pisco. I wskazuje drogę w głąb lądu, akurat — co za pech! — w stronę równiny Nazca. I aby już nie było nieporozumień, że był to znak dla starożytnych żeglarzy, z morza jest on niewidoczny. Ponieważ nie ma żadnej „racjonalnej" hipotezy dla jego wyjaśnienia, więc różni polemiści wolą o tym nie wspominać. Stefan Kowal również.

Więcej jest jednak takich niewygodnych faktów. Ot, choćby koło inżyniera Józefa Blumricha. Inżynier Blumrich był pracownikiem NASA i zagorzałym przeciwnikiem hipotez Ericha von Dänikena. Ale, aby móc zwalczać go argumentami, a nie wymyślać mu tylko od **„szwajcarskiego hotelarza"**, zaczął studiować materiały źródłowe. Przestudiował między innymi słynne proroctwa Ezechiela. Zaczął je „przekładać" na język współczesnej techniki i doszedł do rewelacyjnych, zupełnie nieoczekiwanych rezultatów. Powyżej reprodukujemy fragment obrazu namalowanego wedle proroctwa Ezechiela i rysunek „kosmicznego lądownika", jaki odtworzył na tej samej podstawie inż. Józef Blumrich. Opatentował on zresztą na takiej samej podstawie powstałe słynne koło mogące poruszać się we wszystkich kierunkach, owo „koło w kole".

Stefan Kowal wyśmiewa się z hipotezy Ericha von Dänikena, że bóg Kukumatz pokazany jest we wnętrzu rakiety. Jego zdaniem **„rysunek jest wysoce symboliczny, nie ma na nim żadnych urządzeń technicznych, cała jego powierzchnia wokół tego boga Majów wypełniona została fantazyjnymi figurami, pozawijanymi liniami, znakami"**. Powiedzmy, że tak jest. Ale, jak wobec tego Stefan Kowal wytłumaczy fakt, że austriacki fizyk atomowy, Egger, analizując rzeźby Majów zbudował rewelacyjny silnik rotacyjny na sprzężone powietrze, który został opatentowany w 24 krajach?

Stefan Kowal zbyt często ma albo „krótką pamięć", albo woli o czymś nie wspominać. Pisze on na przykład o słynnym już meteorycie tunguskim, że było to jądro komety. I powołuje się na prof. K. Floreńskiego, który **„podsumowując w roku 1965 wyniki licznych, wnikliwych badań radzieckich"**, doszedł do takiego właśnie przekonania. Czyżby od 1965 roku nic się w tej materii nie zmieniło? Czyżby sprawa meteorytu tunguskiego została już wtedy definitywnie rozwiązana i nie było żadnych nowszych badań i hipotez na ten temat? Otóż nie. Stefan Kowal zapomniał po prostu dodać, że inny radziecki uczony, Feliks Zigel stanowczo odrzuca hipotezę o zetknięciu się z Ziemią jądra komety i uważa, że gdyby tak było, to jądro komety musiałoby już rozpaść się w najdalszych warstwach atmosfery. Poza tym w torfie w okolicy rzeki Podkamienna Tunguzka znaleziono nie tylko kuleczki żelaza silnie wzbogaconego w nikiel — **„typowe dla meteoridów"**, ale też aluminium i cynk — do tej pory raczej w meteorytach nie spotykane. I tak, problem meteorytu tunguskiego nie został praktycznie do dziś rozwiązany. Hipotez na ten temat było już kilkadziesiąt i być może powstaną dalsze.

Stefan Kowal cytuje poglądy Ericha von Dänikena na temat **„powietrznej podróży"**. Enkidu, druha Gilgamesza. Cytuje też fragmenty tekstu z sumeryjskich tabliczek:

„I poleciał on znowu cztery godziny wyżej i przemówił: „Spójrz na dół na Ziemię! Jak ona wygląda? Patrz na morze! Co ci ono przypomina? A Ziemia wyglądała, jak papka z mąki, a morze, jak koryto wody".

Zdaniem Ericha von Dänikena **„jakaś istota musiała tutaj widzieć kulę ziemską z dużej wysokości"**. Zdaniem Stefana Kowala — **„wystarczy trochę pochodzić po górach i uświadomić sobie fakt malenia przedmiotów i form morfologicznych powierzchni naszej planety w miarę oddalania się od nich, w miarę wznoszenia się coraz wyżej ponad ich poziom"**, aby stworzyć taki opis, jaki spotykamy w poemacie o Gilgameszu.

I znów o czymś Stefan Kowal był uprzejmy „zapomnieć". O mapach Piri Reisa. Zdaniem specjalistów amerykańskich takich pomiarów, a między innymi nie znanej wówczas Antarktydy, można było dokonać z wysoka i tylko bardzo precyzyjnymi aparatami. A więc — choć mapy te pochodzą z bardzo odległego od czasów Sumerów okresu — poemat o Gilgameszu nie był jedynym przekazem wznoszenia się w przeszłości nad powierzchnią naszej planety.

Na koniec Stefan Kowal poklepał Ericha von Dänikena protekcjonalnie po ramieniu:

„Niewątpliwą zasługą von Dänikena jest postawienie problemu tak, że nawet najzagorzalszy przeciwnik nie jest w stanie go unicestwić".

Ale, żeby nie było żadnej wątpliwości, dodaje:

„Natomiast grzech stanowi pomieszanie faktów z domysłami, czy wręcz z fantazją nie mającą nic wspólnego z prawdą naukową. Czytelnik niewyrobiony, nie przygotowany, a takich jest znakomita większość, zostaje wprowadzony w błąd zręcznie i często nieodwracalnie. W tej sytuacji byłoby lepiej, żeby do jego rąk nie docierały książki pseudonaukowe. Niech raczej czyta fantastyczne powieści...!".

Skądś ja już takie poglądy znam. Żadnych „nowinek", niech ludzie wierzą w dogmaty, nawet, kiedy „my, ludzie światli" wiemy, że dogmaty są fałszywe, ale mimo to wiara w nie pozwala utrzymywać „nie zmieniony porządek rzeczy". Tylko to już nie te czasy. „Nowinki" docierają do ludzi z różnych stron i zmuszają do myślenia. Byłoby dobrze, gdyby i „strażnicy dogmatów" zaczęli myśleć.

Proszę wszakże z tego nie wnosić, że sam jestem bezkrytycznie ustosunkowany do wszystkiego, co głosi Erich von Däniken. Zdaję sobie sprawę z zalet i wad głoszonych przez niego hipotez. Trudno mi się jednak godzić z metodą polemiki, jaką zademonstrował Stefan Kowal. Jest to traktowanie czytelnika, jako niedorozwiniętego, niedouczonego, któremu trzeba starannie dobierać lektury i informacje.

Stefan Kowal poza tym sugeruje, że jakoby takie „herezje" głosił tylko Erich von Däniken. Zapomina więc że nie jest on odosobniony w swoich poglądach na możliwość kosmicznego kontaktu w przeszłości. Wśród zwolenników takich poglądów będą i są między innymi wysoce utytułowani naukowcy. Więc nie tylko Erich von Däniken głosi „herezje". Czy coś z tego nie wynika?

Tak artysta przedstawił wizję Ezechiela...

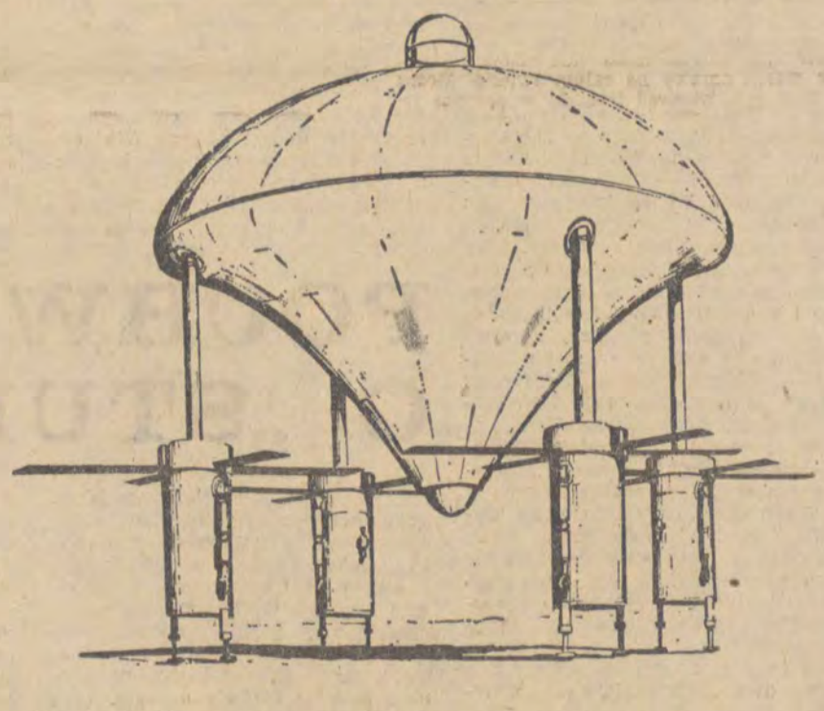

A tak wygląda ona „przetłumaczona" na język współczesnej techniki przez inż. J. Blumricha.

RZECZ O ANTOLOGII

Opracowanie antologii poetyckiej jest zadaniem trudnym i niewdzięcznym. Prawie każdy recenzent — nawet jeśli pochwali — znajdzie pozycje, które są wątpliwe oraz przedstawi listę utworów, które redaktor antologii pominął. Jest to żelazny motyw wszystkich dywagacji na temat antologii.

Sprawa jest prosta. Każdy z nas nosi w sobie jakąś osobistą, prywatną kolekcję wierszy. Dlatego zbiory poetyckie pod hasłem „100 najpiękniejszych wierszy", czy „Album poezji miłosnej", albo „Od Kochanowskiego do Staffa" — mówią tylko i wyłącznie o gustach i fascynacjach autora antologii. „100 najpiękniejszych wierszy" — to przecież nie sto naprawdę najpiękniejszych wierszy, bo taki zestaw obiektywnie w ogóle nie istnieje — tylko 100 wierszy, które autor antologii uważa za najpiękniejsze.

Dlatego też wszelkie oceny antologii są również wyrazem głęboko subiektywnych upodobań piszącego. Zdaję więc sobie sprawę, że subiektywizm zaciąży i nad tym co chcę napisać o antologii poświęconej dziecku — wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Ale trudno — wydaje mi się, że są tam nielogiczności zbyt jaskrawe.

Bardzo znany i rzeczywiście piękny wiersz Jerzego Putramenta „Karabin" rozpoczyna się słowami: „Chłopcze, śpiący przy drodze pod sosnową wiechą... „Ale to przecież nie o chłopca, nie o dziecko chodzi! To obraz utrudzonego żołnierza! Kojarząc w ten sposób można by do tematu „Dziecko" włączyć sztukę Grochowiaka „Chłopcy".

Autor antologii pisze w posłowiu, że dokonując selekcji utworów dysponował bardzo obfitym materiałem. Chętnie wierzę, ale widać ta obfitość zachwiała kryteriami doboru.

Na przykład — nie wiadomo dlaczego znalazł się w antologii wiersz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego „Wróble" — wiersz o wojnie i ptakach, ale zupełnie nie o dziecku i dzieciństwie. Albo ja tu kompletnie nic nie rozumiem, albo autor ma skojarzenia, których nie ogarniam. Nie ma natomiast w zbiorze „Kołysanki" — wiersza, który idealnie tkwi w temacie „Dziecko".

Są też pominięcia szczególnie przykre. Autor antologii, Jan Nagrabiecki pominął na przykład w ogóle utwory tak wybitnej poetki, jak Anna Pogonowska — autorka całego szeregu wierszy o dzieciach i dzieciństwie, wierszach stanowiących chlubę współczesnej liryki. Są natomiast w tomie średniej wartości utwory bliżej nie znanych autorek — Wandy Nagrabieckiej i Ewy Żylińskiej.

Czytając tę antologię sporo znajdziemy takich zagadkowych nazwisk i decyzji wyboru.

Co prawda autor nie pominął twórczości Andrzeja Bursy, ale za to pominął jego wiersz „Chory synek" — jeden z piękniejszych we współczesnej poezji obrazów miłości ojcowskiej.

I tak strona po stronie... Są trzy wiersze Urszuli Kozioł — jeden logicznie tkwiący w temacie antologii — dwa nie wiadomo dlaczego się w niej znalazły. Albo — dopuszczam taką możliwość — zupełnie nie nadążam za biegiem skojarzeń Jana Nagrabieckiego.

Dziwna to antologia. Odnosi się wrażenie, że jej autor po prostu nie określił sobie kryteriów wyboru. A to jest w kompletowaniu antologii sprawa podstawowa. Oczywiście później można te kryteria łamać, gdy się to okaże konieczne, lecz najpierw muszą istnieć. W wypadku antologii Nagrabieckiego ma się wrażenie, że autor do końca nie zdecydował — czy to ma być antologia o dziecku, czy dla dziecka, czy wreszcie ma to być zabawa w odległe skojarzenia.

Z felietonu wynika, że nie zachwyciłem się pięknie wydanym zbiorem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Nic dziwnego, bo moja osobista antologia pt. „Dziecko", jest nieco inna. I bardzo dobrze.

Ale Jan Nagrabiecki także ma prawo do swojej wizji tematu, nawet jeśli jest ona, zdaniem czytelnika, niespójna. I też bardzo dobrze. Książek poetyckich nigdy nie jest za wiele — a szczególnie antologii, których wielotysięczne nakłady znikają z księgarń, jak sen. I to też jest bardzo dobrze.

A zatem bardzo dobrze, że LSW wydała niezbyt dobrą antologię. W poezji tak bywa, że suma minusów może dać plus.

WIDOK

PROPOZYCJE

SMOKI

Tradycja nakazuje, żeby latem pisać o wężach morskich. Skoro tylko w gazetach pojawiają się wiadomości o wężach morskich, o różnych potworach z głębin jezior się wynurzających, to nieomylny znak, że ogórki w pełni. Bierze się to stąd, że latem wszyscy ruszają w plener, a w miastach zostają tylko nieliczni, nic się nie dzieje, nic ciekawego nie ma w polityce, więc i łamy gazet pozostają puste. Wtedy każda wiadomość jest dobra. A już najlepsza taka, która budzi sensację, zadziwia rozleniwionych upałem mieszczuchów.

Teraz się jednak trochę zmieniło na politycznej mapie świata i polityczne niże i wyże, zupełnie jak w meteorologii, pojawiają się na przemian również i latem. Gazety pełne są różnych ciekawych doniesień politycznych, mimo lata dzieją się różne ważne sprawy na całym świecie. Można byłoby zaryzykować tezę, że w polityce teraz nie ma ogórków. I nie byłoby to zbyt wielkie ryzyko. Dla węży morskich miejsca zatem zostaje mało, bo i gazety nie są znów takie obfite. O różnych dziwnych rzeczach pisze się zresztą przez cały rok. O wężach morskich także.

Zmienił się zresztą nasz stosunek do węży morskich. Już nie wszyscy sobie tylko z nich podkpiwają. Niektórzy zastanawiają się poważnie nad tym, ile w tych baśniach i legendach jest prawdy. Taki na przykład potwór z Loch Ness, pieszczotliwie zwany „Nessie". Pojawia się na łamach gazet i czasopism nie tylko latem. Przedsięwzięto już wiele wypraw naukowych, aby wyjaśnić zagadkę z Loch Ness. Czy ją wyjaśniono? Jak do tej pory nie. „Nessie" ma bowiem swoich zagorzałych zwolenników, którzy są przekonani, że w głębokich wodach Loch Ness żyje „przedpotopowe zwierzę", jak i ma swoich przeciwników, którzy uważają, że to wszystko bujda i wymysły.

Ale jedno jest pewne. „Nessie" nie wymyślili dziennikarze nudzący się latem i szukający sensacyjnych wiadomości dla swoich gazet. Pierwsza wzmianka o „Nessie" — albo o jego przodku — pochodzi z 565 roku i znajduje się w biografii świętego Kolumbana, apostoła Piktów, który właśnie w 565 roku bawił nad jeziorem Loch Ness i zobaczył, jak ogromny smok ścigał jakiegoś pływaka. Święty podniósł w górę krzyż, święci zawsze chodzą z krzyżem w ręku i krzyknął gromkim głosem: — Nie zbliżaj się! Nie waż się tknąć człowieka! Smok usłuchał.

Okazuje się jednak, że nie tylko Loch Ness ma swego potwora. Wiele jest jezior na świecie, w których żyją dziwne stworzenia. „Przegląd Techniczny" publikuje od kilku numerów „Poczet potworów letnich" Pisano już o „Nessie", pisano o innych. Bogaty zestaw potworów posiadają między innymi jeziora Związku Radzieckiego. Na przykład swojego potwora posiada jezioro Worota. Informacja o potworze z tego jeziora pochodzi z czasów nie tak odległych, bo z 1953 roku. Wtedy to nad jeziorem Worota bawiła radziecka ekspedycja, kierowana przez geologa W. A. Twierdochliebowa. Geolodzy szukali oczywiście zupełnie czegoś innego, a spotkali potwora. Widział go i opisał kierownik ekspedycji geologicznej — W. A. Twierdochliebow oraz jeden z członków ekspedycji, geolog B. Baszkarow.

Geolodzy nie mogli odpowiedzieć na pytanie: jakie to zwierzę? — gdyż nie są zoologami, ale opisali okolicę, która jakby żywcem była przeniesiona z przeszłości „Przegląd Techniczny" cytuje fragment takiego opisu: „Spotykaliśmy tam rozległe bagniska porośnięte długim czerwonym mchem. Niewątpliwie są to mchy pochodzące z trzeciorzędu — nie widziałem ich — napisał W. A. Twierdochliebow — w żadnym innym rejonie na północy kraju (...) W jednym z jezior złapaliśmy dziwną rybę, zupełnie odmienną od występujących tu gatunków. Jej mięso było pomarańczowe" Trzeba tu dodać, że jezioro Worota leży we wschodniej Syberii, 120 km od najbliższej osady, są to rejony Syberii bardzo mało zbadane.

Nad jezioro Worota wybrała się inna ekspedycja naukowa. Było to w 1963 roku. I ona widziała tam potwora. Swego potwora posiada jezioro Łabynkyr położone w tym rejonie. W 1964 roku specjalna ekspedycja z Rygi — trzecia w kolejności, która chciała potwierdzić przekazy o diable żyjącym w Łabynkyr — trafiła na trzy stwory poruszające się po wodzie, ale nie udało się jej nic bliższego stwierdzić. Radziecki badacz, dr K. Kłumow napisał tylko: „W to, że w jeziorach Worota i Łabynkyr żyją jakieś duże zwierzęta, nie można wątpić".

Ale również jeziora kanadyjskie mają swoich potworów. W ogóle są na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Być może warto bliżej przyjrzeć się legendom o smokach, z którymi w średniowieczu walczyli bohaterscy rycerze. Być może nie są to tylko czyste wymysły fantazji średniowiecznych bajarzy. Może istotnie z dawnych epok pozostały jakieś stwory, które gdzieś tam w głębi wód żyją i po dziś dzień. I być może kiedyś znajdziemy odpowiedź na nurtujące nas pytania.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

BLISKO DNA

Temat nie jest apetyczny ani „nośny intelektualnie", choć ożywa czasami na łamach prasy. Ożywa zresztą zbyt rzadko, bo dotyczy — choćbyśmy nie wiem jak kręcili nosami — absolutnie wszystkich. Chodzi o temat tak zwanych sanitariatów, czyli po prostu wychodków.

Znów miałem okazję wychylić się nieco poza granicę naszego kraju i znów stwierdziłem, że na żadnym odcinku nie różnimy się tak bardzo od świata, jak właśnie na tym. Za każdym razem, kiedy jestem zmuszony skorzystać u nas z publicznej toalety, odczuwam to jak akt głębokiego poniżenia godności osobistej. To jest katastrofa, ohyda, to jest nie tylko poniżej jakiegokolwiek poziomu, to jest bliskie najgorszych możliwości, bliskie dna.

Wyrosłem już z dzieciństwa na tyle, żeby nie wierzyć w skuteczność haseł i apeli do osobistej kultury rodaków. Nawet zwalczanie alkoholizmu nie może się ograniczać do sfery ustnych perswazji i do grania na ambicjach, chociaż picie wódy jest zależne od woli człowieka, a więc od jego sfer psychicznych, a fizjologia nie jest. Fizjologia nie jest zależna od niczego i trzeba stworzyć takie warunki, żeby mogła funkcjonować zgodnie z zaprogramowaniem naszych organizmów, a bez obrażania naszych ludzkich aspiracji.

Może to i niezbyt wytworne, ale walmy prosto z mostu, bo sprawa poważna. Ustępy w naszych wagonach kolejowych znacie. Zamiast jeszcze raz nasobaczyć na niechlujstwo i tak dalej, chcę powiedzieć: **tam nie może być czysto.** Nie może absolutnie — przy takich jak są urządzeniach. Przecież ta deska powinna się sama podnosić, a nie sama z hukiem opadać. Tam musi być podnosząca do pionu sprężyna, inaczej pierwszy mężczyzna pozostawi po sobie ślady, a następny użytkownik już z musu przestanie się z czymkolwiek liczyć. Po piątym z ustępu zostaje chlew i to taki sprzed tamtej wojny.

W naszych miejskich podziemnych szaletach są sprzątaczki, spłukuje się wodą. Dlaczego te szalety czuje się mimo to nosem w promieniu stu metrów? Dlaczego w takiej Szwecji, Austrii, Danii te przybytki to sama rozkosz, sam chłodny, bezwonny, sterylny komfort? Może inne środki czyszczące, na pewno lepsze i co najdziwniejsze — zawsze zgodnie z przeznaczeniem działające urządzenia: krany, spusty, zawiasy, syfony, a także najpewniej: lepsza i prawdziwa wentylacja. Tam zresztą wcale nie włażą z tymi sprawami pod ziemię. Przeciwnie: skromne szaleciki stoją sobie właśnie na ulicach, na skwerach i placykach. Wewnątrz — powiadam — sama rozkosz. Poza tym — ani to nie obraża niczyjego wzroku, ani — tym bardziej — powonienia.

Architekt, który zaprojektował sieć drewnianych i prawie że samozapalnych zajazdów w stylu podobno staropolskim, zarobił sporo pieniędzy i pisały o nim wszystkie po kolei pisma w samych superlatywach. W tych zajazdach lepiej nie wchodzić do toalety, lepiej — jadąc maluchem — zaczekać na gęsty las, też zresztą podobny w pasie przydrożnym do gnojówki. Architekt swoje zrobił jak trzeba, nie dopisały szczegóły. Ale przecież tyle jest instytutów i biur projektowych — może po zajazdach kolej na sieć publicznych ustępów? Jak się do roboty zabierze tysiąc uczonych mężów w stu instytucjach, dwa tysiące doktorów w pracowniach i kreślarniach, to może chociaż za dziesięć lat wymyślą tę podnoszącą się deskę, tę skuteczną wentylację, te jakieś nie gryzące w oczy środki czyszczące, umywalki nie zatykające się zwyczajną pianą z mydła, spłuczki, spływy, suszarki? Może w kilkanaście lat później wszystko to zostanie „wdrożone" i nareszcie, nareszcie...

Cóż, człowiek do końca jest optymistą.

ĆWIEK

Z GALERKI

WOJCIECH DRYGAS

Pójdziesz do nieba za śmiech,
Jeśli popełnisz ten grzech.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

21 GOLI

Bogdan Tuszyński, prowadząc w radio „Studio S 13" i łącząc się ze wszystkimi sprawozdawcami na ligowych stadionach, już przez dwie ostatnie kolejki fascynuje się rekordem bramek ustanowionych w pierwszej kolejce ligowych spotkań. Strzelono wtedy 22 bramki. W ostatniej 21. Jest więc z czego się cieszyć, choć rekord pierwszej kolejki nie został pobity.

Pamiętam takie ligowe środy, czy niedziele, kiedy na wszystkich boiskach padało tylko 7 bramek, a wśród wyników spotkań przeważały bezbramkowe remisy. Teraz niby się coś zmieniło. Piłkarze strzelają gole. Podnosi to walory widowiskowe meczy i lepiej świadczy o piłkarskich umiejętnościach. Niby jest się z czego cieszyć.

Można byłoby się cieszyć naprawdę, gdyby nie pewne małe ale. Wprawdzie po trzeciej kolejce niewiele można jeszcze powiedzieć o stopniu przygotowania zespołów do rundy jesiennej, ale mimo wszystko widoczna jest już pewna prawidłowość, która powtarza się zawsze po każdej przerwie w ligowych rozgrywkach. Dokładne wymieszanie w ligowej tabeli. Ci, co poprzednio byli na czele, gwałtownie lecą na dół, a ci, co byli na dole, dobrze startują.

Wszystko się jeszcze podczas dalszych rozgrywek może zdarzyć, bo nie zawsze dobry start świadczy o dobrym przygotowaniu. Dobre przygotowanie to jest takie, kiedy drużyna gra równo przez całą rundę i realizuje z góry założony cel.

Można więc się w zasadzie nie martwić tym, że chorzowski Ruch nie strzelił przez trzy mecze ani jednej bramki i mistrz Polski w nowej rundzie ligowych rozgrywek zajmuje mało zaszczytne — ostatnie, 16 miejsce. Można się tym zbytnio nie przejmować, gdyż przed drużyną Ruchu wiele jeszcze meczy i piłkarze jak się wreszcie wezmą do roboty, to odrobią zaległości. W odrabianiu zaległości jesteśmy wszak bardzo dobrzy.

Można się tym również zbytnio nie przejmować, że Widzew i Stal znajdują się w środku tabeli i mają po 3 punkty. Można również nie przejmować się zbytnio tym, że gdyńska Arka zdobyła tylko 2 punkty i zajmuje 13 pozycję w tabeli. Można. Chciałabym jednak zwrócić uwagę, że są to drużyny, którym przyjdzie już niedługo spotykać się z innymi drużynami zagranicznymi w pucharach europejskich, a — niestety dla nas — nie wszędzie poziom ligowych meczy jest tak nędzny, jak u nas.

Wydawałoby się zatem, że właśnie te zespoły, które zajęły w ubiegłej edycji ligowych rozgrywek czołowe miejsca, ta która zwyciężyła w Pucharze Polski, po pierwsze — przerwę potraktują na solidne przygotowanie się do trudnych przecież spotkań z zagranicznymi rywalami, a po drugie — ligowe mecze potraktują, jako swego rodzaju formę doskonalenia własnych możliwości. Trudno jednak w taki sposób potraktować mecze Ruchu, kiedy jego napastnicy, ani też pomocnicy nie potrafią przez trzy mecze strzelić ani jednej bramki.

Mogłoby się również wydawać, że mecz Widzew — Stal dostarczy widzom wspaniałych emocji, ze względu już tylko na to, że spotykają się dwa zespoły, które wystąpią w Pucharze UEFA. Ale nic z tego. Mecz kończy się remisem 1:1, a jego bohaterami są niewątpliwie bramkarze: Zygmunt Kukla i Stanisław Burzyński.

O zespole ŁKS już nie wspomnę, bo ani w żadnych pucharowych rozgrywkach nie występuje, ani też w ubiegłym sezonie ligowym nie wyróżnił się niczym szczególnym. Gra przeciętnie i przeciętne sobie stawia cele. Tyle, że mamy w pierwszej lidze drużynę, której nie grozi na razie spadek do drugiej ligi. Dobre i to

Ale, co będzie z mistrzami? Czy można liczyć, że szykują formę na międzynarodowe mecze? Czy do tej pory nadrobią braki techniczne? I czy starczy im sił na dobrą gre w pucharowych meczach i w meczach ligowych? Odpowiedź na wszystkie te pytania przyjdzie oczywiście z czasem. Praktyka odpowie. Ale kibic wolałby mieć nieco więcej pewności. Kibic jest dobrego zdania o krakowskiej Wiśle. Wisła, choć przegrała w ubiegłym roku w pucharowych rozgrywkach, pokazała się z najlepszej strony. Ale w lidze nie odegrała już żadnej roli. Dopiero teraz nieźle wystartowała. Ale, czy znów starczy jej sił na całą rundę jesienną? Czy zawsze z początkiem sezonu kibic musi mieć tyle pytań?

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1801. A-2.

Załącznik nr. 37/-/79

HASŁO NUMERU: Szanuj nerwy ratownika! Topiąc się, nie krzycz!

CZEKOLADKI

Oglądamy sobie telewizję, choć co prawda nie bardzo jest tam ostatnio co oglądać, ale oglądamy i dziwimy się, dlaczego nie widać tego czy innego artysty? Może wyjechał, może chory, może przeżywa kryzys twórczy. Może to, może tamto... Domysły mogą być różne. Ale życie sobie idzie dalej, pojawiają się nowe gwiazdy, nowe twarze, nowe talenty Jak to w życiu. Aż nagle!

Bierzemy do ręki „Sztandar Młodych" i patrzymy, a oto Bogdan Możdżyński rozmawia sobie z Marianem Opanią. Mariana Opanię znamy, lubimy, więc czytamy z zainteresowaniem, aby dowiedzieć się też, co Marian Opania ma nam do powiedzenia.

Pyta Bogdan Możdżyński: — **W telewizji ostatni raz widziałem Pana bodaj przed 3 laty i to w kiepskim spektaklu Teatru Sensacji, w radiu...**

Pytania Bogdan Możdżyński nie dokończył, bo mu Marian Opania przerwał: — **... W telewizji mnie nie ma, bo naraziłem się pewnym paniom z tej instytucji. Wie pan, ja nie umiem chodzić z czekoladkami.**

No i sprawa się wyjaśniła Wszystko przez to, że w telewizji pewne panie lubią czekoladki, a niestety są tacy, co to nie lubią dawać czekoladek, a inni pewnie nie wiedzą, że trzeba, a inni jeszcze przypuszczają, że panie z telewizji — jak wszyscy zresztą — lubią koniak, no i mamy klops. Cała prawda o telewizji wyszła nam jak na dłoni. Oto dlaczego telewizja jest coraz gorsza, bo nie wszyscy dają czekoladki. I biedny telewidz cierpi przez głupie czekoladki. Oj, brzydko się panowie i panie bawicie, oj brzydko!

ZYG. ZYG.

Rys. Andrzej Adamowicz

DONOSY ZNAD MORZA

Z Sobieszewa

U nas pada, jak zwykle w lipcu. Na plażę chodzimy patrzeć, czy morze jeszcze nie wylało. Po raz setny oglądamy „Czterech pancernych i psa". Życie towarzyskie kwitnie.

Grażyna

Z Rowów

Ostatnie wiadomości. Mokro. Zimno. Aż dziw, że do tej pory nie spotkaliśmy tutaj pingwinów i białych misiów. Kto może niech nad morze nie jedzie.

Mirek

ORAZ Z GÓR

Z Zakopanego

Powietrze tu mahoniowe. W dolnych partiach Tatr mocno zmieszane ze spalinami. Na przemian wyż i niż. Poza tym nic nowego.

Włodek

OD REDAKCJI: Donosimy PT Czytelnikom o tym, co się dzieje tam, gdzie ludzie wczasują, aby nie sądzili, że pada i zimno jest tylko u nich. Nawet w Bułgarii padało i nie było tak upalnie. Ale w sierpniu będzie lepiej — tak myślą ci, którzy w sierpniu wybrali się na urlop. Gdyby się nie sprawdziło, to pozostał nam jeszcze wrzesień. Kalendarzowe lato kończy się przecież 23 września.

POSTĘP

Kiedyś moim znajomym zginął samochód. Zameldowali na milicji a milicjanci powiedzieli, że będą szukać, ale właściciele niech też szukają. Komu prędzej uda się odnaleźć samochód. Odnaleźli znajomi. Stał pod „Tivoli". Memu koledze natomiast, kiedy ukradli samochód z garażu, nikt już nie mówił, aby szukał. Samochodu nie znaleziono do dziś. Prawdopobnie poszedł na części. Tak też bywa. Skoro są złodzieje, muszą być poszkodowani i musi być milicja ktora złodziei łapie. Każdy — może powiedzieć — robi swoje.

Złodziej kradnie, poszkodowany melduje milicji, a ta bierze się do dzieła. I oto nagle coś się zmieniło. Łódzka milicja przez kilka tygodni szukała właściciela beli materiału na płaszcze. Nikomu nic nie brakowało. Wreszcie okazało się, że brakuje Spółdzielni Pracy im. Lewartowskiego.

Teraz znowu milicja szuka właścicieli kabla miedzianego wartości 70 tys. złotych. Kabel jest miedziany. Kabla na ogół brakuje poczcie i nie może ludziom założyć telefonu. A tu proszę jest kabel miedziany. Nikomu nie zginął, nikt nie jest poszkodowany.

Jak to się dzieje? Złodzieje sporządnieli? Czy poszkodowani wolą milczeć? Czy milicja sprawniej działa? Gdzieś się dokonał postęp, ale gdzie?

Zet.

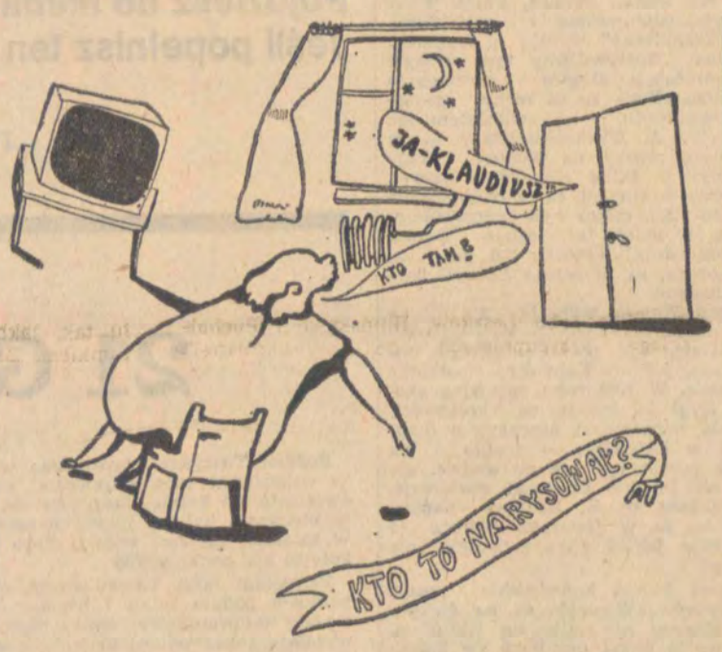

Rys. Andrzej Tylczyński

PLANOWANIE

Planowanie nie jest sztuką łatwą o czym doskonale wiedzą nie tylko planiści. Jak więc mają sobie radzić zwykli ludzie, którzy chcą wyjechać na lato z namiotem? Przede wszystkim niczego nie wolno im planować zawczasu. Dowodzi tego nowe, trzecie już z kolei, a przy tym poprawione i uzupełnione wydanie bardzo potrzebnej książeczki „Camping", która ukazała się nakładem „Sportu i Turystyki". Druk ukończono wprawdzie w maju 1979 r., ale informator o campingach polskich trafił do sklepów w połowie lipca, kiedy wszyscy wyjeżdżający na urlopy dawno już byli w drodze. Równie dowcipnie postąpił Ilustrowany Magazyn Turystyczny „Światowid", który wydał numer specjalny pt „Urlop za granicą 1979". Magazyn ten trafił do kiosków w pierwszej dekadzie lipca, a więc także ciut za późno, bo formalności związane z wyjazdem trzeba przecież załatwiać wiele tygodni wcześniej. „Załącznik" ma dobrą radę dla wszystkich urlopowiczów: na letni urlop wyjeżdżaj jesienią, a jeszcze lepiej zimą!

J. Darnal

Rys. Jan Zieliński

MIECZYSŁAW M. SZARGAN

ŁATKI ADRESATKI

DZIEWCZYNA W MORSKIEJ KĄPIELI

Ja zakochany,
A ją w objęcia
Biorą bałwany!

PROGNOZA NA LATO

Koniec końcem —
Polecisz za słońcem.

WCZASOWY LIZUS

Liże
Wyżej!

OSTROŻNIE Z OGNIEM

Foto: H. Pustkowski

KOTY NIE LUBIĄ DYMU!

KORESPONDENCJA „ZAŁĄCZNIKA"

NOWOŚĆ

Z Przedsiębiorstwa Handlu Chemikaliami „Chemia" otrzymaliśmy odpowiedź na naszą notkę pt. „Złapani na Lepex". Oto jej treść:

„Odpowiadając na notatkę zamieszczoną w tygodniku „Odgłosy" pt. „Złapani na Lepex", Przedsiębiorstwo Handlu Chemikaliami „Chemia" w Łodzi uprzejmie wyjaśnia:

Klej „Lepex" wprowadzono do obrotu jako nowość. Ze względu na brak nabywców, w czasie składowania, przy wysokich temperaturach, jakie panowały w miesiącu czerwcu, uległ on wyschnięciu.

W tej sytuacji wydano zalecenie przesłania całego zapasu do producenta aby przedsiębiorstwo nie poniosło strat.

Zobowiązano kierownictwo pawilonu do pełnej analizy zapasów co najmniej raz w miesiącu w magazynach i salach sprzedażowych, aby nie dopuszczać do sprzedaży towarów po okresie gwarancji lub złej jakości"

Dziękujemy za wyjaśnienia, ale mamy nadal — niestety — wątpliwości. Nurtuje nas pytanie: dla kogo była ta „nowość", skoro nikt jej nie chciał kupować?

Z ŻYCIA SFER

CZYJE TO DZIECKO?

Jan Piasecki mianował w „Sztandarze Młodych" Zenona Laskowika **„ojcem, matką i dzieckiem poznańskiego kabaretu „Tey"**. Natomiast sam Zenon Laskowik w rozmowie z reporterem „SM" twierdzi, że to studencki kabarek „Klops" był **„ojcem i matką „Teya"**. I bądź tu mądry. Kto dojdzie wreszcie do ładu z tymi ojcami i matkami? Czyim w końcu dzieckiem jest znakomity Zenon Laskowik? Co na to państwo Laskowikowie seniorzy?

TĘSKNOTA

Marian Miszalski stęsknił się do „bomby jasnego z dobrą pianą, wprost z lodu". Tęsknocie dał wyraz na łamach „Głosu Robotniczego" (nr 152 z 9 lipca br.), po czym publicznie ... zawstydził się, bowiem tęsknota ta — czy nawet sama myśl o niej — wydała mu się „nieprzyzwoita"...

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

FRASZKA TEATRALNA

W. SZEKSPIR — „KOMEDIA OMYŁEK"

Gdy po nominacji następuje schyłek
wszyscy grają zgodnie komedię omyłek?!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI — WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 18

— O ile wiem, to w poniedziałki manikura a znowuż w piątki klepanka. Tak mówił, jak tu siedzę.

— Leżysz — mruknął Gzyms przez gryzioną trawkę. — Takie tam fanzoły: klepanka! Kto ją klepie?

— Kosmetycha, nie wiesz? Kładzie się gips na monetę i klepie. Maseczka. Ona pracuje w masarni.

— Fastryguj jaśniej. Kto, znaczy?

— Do trzeciej nadziewa pasztetową, a po fajrancie w domu maseczki, fidrygałki — wiesz: drugi etat. Dwa przystanki stąd. Na manikur nie będziemy czekać, dziś maseczka i dziś szarpiem.

— Piątki są feralne. Tfu! — trawka wryła się między zdekompletowane zęby Gzymsa. — Albo się cizia rozmyśliła, albo twój wywiad do lupy.

— Jak brat siostrę kocha, to z niej balona nie robi — oburzył się Kapiszon. — Wywiad był, notatkę zdałem, przystępujemy do etapu — powiedział magister. Jeszcze postawił taką fajkę w aktach, wiesz. Ma łeb.

— Ale nie idzie.

— To wytrzeszcz gały, kotku. No?

— To ta?

Mariolka szła, podnosząc coraz to inną nogę i stawiając ją z powrotem na ziemi. Spod lewego łokcia wyglądał tender żółtozielonej lokomotywy. — Może coś ekstra wyskubie? — myślała. Lubiła mieć wyskubane włoski a to z brwi, a to spod noska. A znowu synek kosmetyczki nie dostawał zabawek od taty, bo go nie znał. Z pasztetowej lepił kulki i ciskał we wróble, którym się to musiało podobać, bo cała ścieżka przed domem była biała od wróblich kupek. Zastosowanie kiszki pasztetowej, jeżeli już jej jeść nie można z nadmiaru, jest raczej ograniczone.

— Ubezpieczaj. Ja rwę — powiedział Kapiszon, wstając.

— To ja rwę. Tak było w rozkładzie (trawka wypluła się sama).

— Co mi tu będziesz — oburzył się Kapiszon i dorzucił sporo czasowników, dziwnie do siebie podobnych.

— Lepiej się od razu — odpowiedział Gzyms i dodał te same czasowniki. Widocznie nie znali ich więcej, bo w milczeniu chwycili się za ramiona i wytoczyli na drogę. Kurz podniósł się do oczu zaskoczonej Mariolki. — To ja! Właśnie że ja! — słyszała zasapane okrzyki. Z daleka dobiegło jeszcze urwane „cipu..." stryjny Ignacego Zmelonika.

Może by i poszła spokojnie dalej — bo to raz brali się za łby faceci z osiedla? — ale zatrzymał ją głos:

— Psze pani, chwileczkę. Co to tak — idzie się i już? A my to co?

Zdyszany Kapiszon chwytał ją właśnie za jedną rękę, Gzyms — z przekrzywionym krawatem — za drugą. Trzasnęła nadepnięta lokomotywa.

— Panowie sobie życzą?

— Czuj się porwana i nie stawiaj oporu — wyrecytował któryś z nich, chociaż Mariolka nie myślała o oporze i śmiała się zadowolona. Ma się to powodzenie!

— Mogę się czuć, tylko ta wizyta u kosmetyczki! Stracę kolejkę!

— Siadać! — Gzyms wskazał tylne siodełko swego motocykla.

— Tu! — Kapiszon mocował się z drugim motorem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

MAGAZYN KULTURALNY